Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK II NR. 19 (43)

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

WARSZAWA, DNIA 1 STYCZNIA 1934 R.

CENA 50 GR.

Polska... nad Europą

W bezdennych głębokościach nieba, w czarnej otchłani, pośród miljarda wirujących galaktyk, mgławic i konstelacyj — glob. Na jego kontynentach, jakże miniaturowych z tej perspektywy kosmicznej — miasta nabrzmiałe zgiełkiem, światłami i ruchem. Na płytkich basenach mórz — lilipucie floty wojenne i handlowe z brytyjskim lwem na masztach. z japońskiem słońcem wschodzącem, z amerykańską gwiaździstą banderą. Cały ten bagaż mknie dookoła słońca, trzydzieści kilometrów na sekundę, z matematyczną precyzją trzymając się wyznaczonej orbity, a każdy obieg oddzwania na zegarze kosmicznym rok nowy i karuzela przyrody kręci się z cykliczną monotonją, jesienie, zimy, wiosny, lata, i znowu: jesienie, zimy, wiosny, lata...

Zdawałoby się, że nic się nie zmienia w tem regularnie powtarzającem się widowisku. A jednak... Gdy nakręcona jak mechaniczny automat przyroda trzyma kurczowo zestandaryzowany astronomicznie glob w swych kleszczach, każąc mu krążyć od miljonów lat pomiędzy Marsem i Wenus, sto czterdzieści osiem miljonów kilometrów od słońca. — coś się przecież odmienia, coś się posuwa naprzód na tym najpiękniejszym ze światów. Zapalają się światła idej, gasną księżyce zmartwiałych, przestarzałych epok, przelatują nagle meteory genjuszów, powstają coraz nowe mgławice kultur, coraz nowe konstelacje polityczne. Ustawiczny, twórczy ruch wre w tym dziwacznym tyglu. któremu na imię: Historja. I niestrudzony Prometeusz-Człowiek pnie się wciąż wyżej z pochodnią rozumu wyrwaną niebiosom, konstruuje coraz niebotyczniejsze masywy architektoniczne, w nienasyconem dążeniu ku błyszczącemu nad nim w zenicie wieczystemu znakowi zapytania. wieczystemu DLACZEGO?

— — — — — — — — — — — — —

Nowy obrót globu dookoła słońca, obrót naznaczony przez człowieka cyfrą: tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery, przygotowuje nam niewątpliwie wiele niespodzianek. Na całym obszarze zjawisk politycznych, społecznych i gospodarczych odbywa się pośpieszne przegrupowywanie sił, zmiana scenerji tak fascynująca, jakiej nie oglądaliśmy od czasu traktatu wersalskiego i towarzyszących mu przekształceń na karcie Europy.

„Teatr stającej się historji" rozświetla się złowróżbnemi kolorami. Reflektory zaborczych doktryn rzucają snopy światła uplastyczniającego grozę przysposabianego widowiska: oto z lewej, tam pod czerwoną gwiazdą, defilada krasnoarmiejców, dobrze uposażonych w broń techniczną, maski gazowe i tanki; i oto z prawej, pod czarną swastyką, zmasowane, S. A.,w brunatnych koszulach, czarne sztafety ochronne, połyskująca hełmami stalowemi Reichswehra. Pośrodku, pomiędzy temi po mistrzowsku reżyserowanemi grupami niszczycieli, coś jakby okręt zagnany w Scyllę i Charybdę historji, jakby bastjon ostatni, na który powoli zwracają się oczy wszystkich ludów ziemi, zahipnotyzowanych niezwykłością sytuacji. Na szczycie tego bastjonu znana, białoczerwona chorągiew.

Niepokojący ferment zaczyna się i w innych fragmentach sceny. Daleko na Zachód, gdzieś poza prawą kulisą, bezrobotni z pod nowojorskich i chicagoskich fabryk, coraz częściej urządzają kocią muzykę swemu cudotwórczemu prezydentowi. A gdzieś daleko na Wschód, w kulisie lewej, musztrują swoje batalјony przed decydującą rozgrywką ci sami skośnoocy, którzy potrafili, w ciągu trzech dni zrobić rumowisko z Szanghaju. Bliżej pierwszego planu, w starej Europie, huczy od bomb anarcho - syndykalistów Hiszpanja, narazie jeszcze zszywana jakotako ściegami z karabinów maszynowych, Mussolini uczy swoje „balille" — począwszy od siedmiolatków — jak się maszeruje z karabinem na wojnę za nowe imperium romanum, w parlamencie francuskim niewidzialna ręka obala rząd za rządem, jak marjonetki, przygotowując nieuchronnie przełom i dyktaturę, zaś wielki angielski pająk snuje ustawicznie sieć intryg w trójkącie Berlin — Rzym — Londyn.

Ten nowy. karnawałem witany, tysiąc dziewięćset trzydziesty czwarty, zapowiada się wcale interesująco...

— — — — — — — — — — — — —

Jeśli spojrzymy teraz na tę światową maskaradę intryg i haseł przez inne, bardziej syntetyzujące okulary, zatrą nam się szczegóły spektaklu, znikną widziadła wojsk. swastyk, czarnych koszul, palonych kościołów. śmią się na ekranie olbrzymie maski Stalina, Mussoliniego, Hitlera. zgłuszą transmitowane przez radjo enuncjacje i mowy. Wszystko sprowadzi się do dosyć prostego procesu historycznego, wiernie odtwarzającego starą legendę biblijną. Będzie tam jeden symbol: genewska wieża Babel, z tkliwym napisem „Pax vobis", uwieńczonym przez angielską Armję Zbawienia i inne tym podobne organizacje, zaś ponad wieżą chmura, wiatr i mrok, a poniżej różne narody, pakujące pośpiesznie swe manatki i chroniące się za mury swych nacjonalistycznych ideałów, podwyższone jeszcze przez barjery celne. Ujrzysz tam tylko strzępy protokułów z tysiąca i jednej konferencji światowej, usłyszysz zaś bełkot języków, pomieszanych tak dalece, że nikt nie rozumie tam już mowy sąsiada. Jedynie u szczytu, w samej kopule Ligi, wre jeszcze ruch. Gnieździ się tam konspiracja, mająca swój początek w „pakcie czterech". a usiłująca — pod batutą Mussoliniego — przetworzyć idealistyczny instrument międzynarodowego porozumienia, na całkiem konkretny plan nowego rządu nad światem. złożonego z kilku, dzielących się wpływami, wielkich mocarstw.

Czyja ręka podłożyła ogień pod kunsztowną Babel, Mussoliniego czy Hittlera? Trudno dać na to odpowiedź. W każdym razie niebezpieczniejszy to pożar od wznieconego w Reichstagu. A może odpowiedzialność obciąża tych „sterników historji" obydwu razem i każdego z osobna? Może pierwszy podkładał ogień dyskretnie, podług tradycyj Macchiavela, a drugi, jak każe „furor teutonicus", rozwala gmach otwarcie. kamienną maczugą?

Możemy tylko powiedzieć to jedno, że z chwilą, gdy wieża poczęła dygotać we wszystkich swoich przęsłach, rozpoczęły się w podziemnym labiryncie Europy dwa gorączkowe wyścigi: pierwszy to wyścig tajnych kurjerów dyplomatycznych, pędzących z gorszemi od bomb ekrazytu tekami instrukcyj, po korytarzach zburzonego mrowiska, od jednej stolicy do drugiej, — drugi to wyścig laboratorjów, gdzie się pracuje w białych chałatach i w maskach ochronnych nad wyrobem gazów trujących. Swąd tajnej dyplomacji i ponury czad gazów czuć teraz wszędzie na tym nieszczęśliwszym od Atlantydy kontynencie.

— — — — — — — — — — — — —

1934. „Na froncie histrorji bez zmian".

Wali się Liga Narodów. Przygotowania do wojny Rosja contra Japonja ukończone. Największe państwo kapitalistyczne świata zawiera sojusz gospodarczo - militarny z komuną, zbudowaną na trupich czaszkach miljona wyrżniętych burżujów. Francja i Rosja kochają się na umór. Dwie stolice niemieckie, Berlin i Wiedeń, dyszą wzajemną nienawiścią. W Niemczech hitleryzm wskrzesza pogaństwo, krzycząc: Juda-Chrystus verrecke! powołując równocześnie do rządu Jezuitę O. Muckermanna. Przymusowa sterylizacja mężczyzn i oficjalna wojna z żydostwem światowem. Nici sympatji i współpracy nawiązane między państwem Sowietów a faszyzmem. Hitler planuje opanowanie Austrji, Szwajcarji, Holandji. państw bałtyckich i podział Rosji przy pomocy zrewoltowanej Ukrainy. Przymierza i koalicje tworzą się we wszystkich możliwych kombinacjach, a wkrótce tworzyć się będą i w niemożliwych. Niema nic stałego. Panta rei. „Kto wie, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie..."

1934. „Na froncie historji bez zmian...".

— — — — — — — — — — — — —

Dzieje się rzecz dziwna na tym najpiękniejszym ze światów. U węzła dwu obiegów globu dookoła słońca, na przełomie lat 1933—34, sprawdzać się poczyna przysłowie: „Każda droga prowadzi do Rzymu". Jakikolwiekby się nie wytworzył nowy układ warunków politycznych. którędykolwiek chce się przedrzeć spieniony nurt wypadków przez napiętrzone katarakty historji, — wszędzie, jak Deus ex machina wyrasta Ona, Polska.

Polska „Bufforstaat", uboga krewna Francji, chimeryczny wytwór „sprawiedliwości dziejowej", sprzęt niepotrzebny w powojennem umeblowaniu Europy, błąd Wersalu, niewygodne ognisko konfliktów, — ogromnieje naraz u zbiegu wszystkich perspektyw, staje się potrzebna, kojąca jak balsam, pojawia się na ustach narodów, jako gwarantka pokoju, strażnica ładu, tama przeciwko barbarzyństwu, język u wagi. Polska przewidziała bieg wypadków, Polska nie wierzyła w Locarno, Polska ostrzegała Francję, Polska nie chciała paktu czterech. Polska pozostała wierną Lidze, ale w stosunku do nieobecnych w genewskim pałacu, Polska zdecydowała się budować pokój i poza Ligą. Polska ma armję gotową do odporu, nie chce słyszeć o rewizji granic, ale wyciąga uczciwie rękę do zgody.

Gdy Francja staje na straży Wersalu, misja jej nie da się pełnić bez Polski. Gdy Mała Ententa buduje tamę przeciwko planom rewizyjnym Mussoliniego i Hitlera, musi się wesprzeć plecyma o Polskę. Gdy Sowiety lub Niemcy zagrażają niepodległości państw bałtyckich, trzeba im patronatu silnej Polski. Gdy Japonja chce realizować swój program ekspanzji na kontynencie azjatyckim, zaczynając od zaboru Syberji sowieckiej, wzrok jej biegnie ku usadowionej na tyłach przeciwnika Polsce. Ale już i Rosja, widząc groźbę bliskiego konfliktu, zabezpiecza się od strony Polski paktem o nieagresji, bojąc się sztychu w plecy.

Aż oto staje się rzecz najbardziej niespodziana. Dwa wrogie światy, faszyzm niemiecki i komunizm. wyrósłszy naprzeciw siebie i gotując się do straszliwej rozgrywki, ujrzały się rozgrodzone, zaszpuntowane i ohamowane przez Polskę. I gdy Hitler zarówno, jak Stalin, poczynają gorączkowo szukać przeciwko sobie kamratów w Europie, gdy Paul-Boncour rozmawia z Litwinowem, a Goering z Mussolinim, Polska znajduje się w pozycji oblubienicy, o którą ubiegają się na łeb na szyję dwaj zalotni rywale. „Moskwa widzi w Polsce przedmurze przeciw zoborczym planom Hitlera — piszą francuskie dzienniki — ale Hitler chce mieć Polskę przeciwko Rosji za sobą. Narazie w Warszawie mocniejszą jest pozycja Berlina". W Sowietach pisze się dziś wiele o polskiej tolerancji i kulturze, w Niemczech znowuż pochlebia się polskiemu patrjotyzmowi, odwadze i zrozumieniu idei narodowej. Licytacja toczy się dalej. Równocześnie przez szczeliny naszego domu wsącza się chytrze i nieustannie, z fatalizmem biegnącej, przeciekającej wody, lawina dwu sfanatyzowanych ideologij, z pod pięcioramiennej gwiazdy i swastyki.

Polska i Polska... Nawet na wiecach wzburzonego prześladowaniem w Niemczech żydowstwa grzmią raz wraz owacje dla Polski, jako tej, która odważnie stanęła w obronie swoich — żydowskiego pochodzenia — obywateli.

— — — — — — — — — — — — —

Czy polski rozum stanu da się uwieść wszystkim tym dziwacznym konjunkturom, chimerom rozstajnych dróg, nęcącym i schlebiającym propozycjom? A jeśli go one nie odurzą, jeśli pozostanie wierny uczciwej tradycyjnej linji politycznej. czy nie zda się na mądrość opatrzności, która widocznie myśli za nas, skoro tak pięknie wszystko się układa wokoło naszych granic? Czy przeniknie tę tajemnicę dziejów, że oto, gdy naród wydobyty z dna upadku przez przedziwne zawalenie się wszystkich trzech mocarstw zaborczych, zaczyna rość w znaczenie i potęgę, ponad swą własną moc i zasługę, jest to dowód wielkiej, posłanniczej roli historycznej, jaką *powinien* odegrać?

I czy uświadomi sobie związaną z tym podsuwanym opatrznościowo obowiązkiem, odpowiedzialność straszliwą?

U wstępu do roku 1934 widzimy Polskę na stanowisku kluczowem w Europie. Widzimy ją na skrzyżowaniu dróg, któremi bucha ekspanzja Zachodu na Wschód i Wschodu na Zachód. Widzimy ją, wpośród nocy barbarzyństwa zapadającej nad światem. jako strażnicę kultury ducha przeciwko ślepo rozhulanej materji. Widzimy ją. wśród rąk potrząsających mieczami, z gałązką oliwną pokoju i rzetelnego medjatorstwa między poważnionymi. Ona, jedyna już dziś prawie. trwa przy dobrze pojętej idei wolności demokratycznej i praw jednostki, przeciwko dzikim dyktaturom partyj i doktryn, rasizmom, proletaryzmom, i deptającym osobowość ludzką kolektywom. Ona ostała się, jako jedyna już niemal opoka religji chrześcijańskiej i kościoła. gdy w całej Europie rozbrzmiewają hasła bezbożnictwa i neo - pogaństwa. gdy czerwienieją nad ludzkością okropne łuny palonych świątyń.

A gdy poruszą się nareszcie, nieświadome jeszcze swej siły i swego świetnego posłannictwa, narody słowiańskie, gdy podejmą dzieło budowy prawdziwej Unji, prawdziwego ładu moralnego i solidaryzmu społecznego, gdy, zachowując wszystkie zdobycze cywilizacyjne Zachodu, poczną dodawać do nich wyższe piętra kultury, wiedzy. etyki i twórczego rozumu, — któż jak nie Polska. stanąć dziś może, jako „primus inter pares" na ich czele? Któż im dostarczy ideologji, wzorów, siły realnej i heroicznego poświęcenia, jak nie Polska Hoene - Wrońskich i Trentowskich, Polska Mickiewiczów i Norwidów, Polska Batorych i Sobieskich, Koperników i Skargów?

Oby rok 1934 dokonał cudu ocknięcia się i potężnego rozwoju w Polsce, twórczej, posłanniczej świadomości narodowej. Oby — tak jak Anglicy mawiali, że były ciemności na ziemi i stał się Izaak Newton — mówiła o nas przyszła historja, że była noc straszliwa nad światem... i STAŁA SIĘ POLSKA.

Stań się! Przybywaj! Zwyciężaj!

— — — — — — — — — — — — —

W bezdennych głębokościach nieba, w czarnej otchłani, pośród miljarda wirujących galaktyk i konstelacyj, — glob. Dookoła słońca, trzydzieści kilometrów na sekundę. A każdy obieg oddzwania na zegarze kosmicznym rok nowy.

A więc „na froncie przyrody bez zmian?..."

Ale niestrudzony Prometeusz - Człowiek, pnie się wciąż wyżej i wyżej, z pochodnią rozumu wyrwaną niebiosom, w nienasyconem dążeniu ku błyszczącemu nad nim w zenicie, ognistemu znakowi zapytania: DLACZEGO?

Slavica

Jako 72 tom Pism zebranych Lwa Tołstoja ukazał się zbiór, zawierający 366 listów napisanych między rokiem 1899 a 1900. z tego 242 nigdzie nie drukowanych.

Rysunkom Puszkina poświęcona jest praca A. Efrosa p. t. „Risunki poeta", wydana w nakładzie „Akademji" w Sowietach.

Włodzimierz Leontowicz, znany pisarz i publicysta ukraiński zmarł w Pradze czeskiej. Był autorem szeregu opowiadań z życia ludu, np. „Państwo i ludzie", „Stare i nowe", „Wspomnienia uciekiniera". Ostatnio pracował w „Slavische Rundschau", referując dział literatury Ukrainy sowieckiej.

„L'Ukraine. La vie d'un peuple" — oto tytuł książki napisanej przez Rogera Tisseranda i wydanej w Paryżu. Autor jej stara się „odkryć" dla Francji ten wielki naród, posiadający — jego zdaniem — wielką przyszłość, zarówno kulturalną, jak polityczną.

Zagadka teatru Wyspiańskiego

(Uwagi o „Tajemnicy Genjusza")

I.

Trudno dodać coś istotnego do studjum A. Ł. Cybulskiego „Tajemnica Genjusza", zaopatrzonego skromnym podtytułem: „Z zapisków o Wyzwoleniu" („Zet", nr. 16 i 17). Autor, jako interpretator, lub raczej: rewelator tajników teatru Wyspiańskiego, jest dziś najwyższą instancją w tym zakresie; nikt z pośród najbardziej kompetentnych badaczy Wyspiańskiego nie może się z nim równać. Jego zażyłość z tekstami twórcy „Wyzwolenia" jest wprost zadziwiająca. Wydaje się jakby w każdym momencie miał w pamięci wszystkie sceny, fragmenty, symbole i frazy tego ogromu, jakby w labiryncie teatru Wyspiańskiego poruszał się z łatwością z zawiązanemi oczyma, znając na wylot wszystkie korytarze, piętra i tajemne przejścia, jakby operował stu oddawna skonstruowanemi kluczami do stu najgłębszych zagadek Sfinksa. Toteż, jeżeli zabieram głos i ja w tej sprawie, czynię to dlatego, by: 1) sprostować własną błędną interpretację Genjusza (w recenzji mojej z „Wyzwolenia", w grudniu ub. roku); 2) postawić obok problematu Genjusza problemat Konrada, aby w dalszej (ewentualnej) dyskusji, zagadka „Wyzwolenia" wyjaśniła się ostatecznie, o tyle przynajmniej, o ile wyjaśnić ją może słowo; 3) wysnuć z przesłanek A. Ł. Cybulskiego pewne dalsze konsekwencje, nasuwające się same przez się.

Wbrew zarzutom niektórych krytyków, gniewających się na rzekomą dowolność interpretacyj Cybulskiego na wyolbrzymianie i hypostazowanie kreacyj Poety, uważam, że w Wyspiańskim odczytuje się nie to, co się chce, lecz to co się *umie*.

Kto się zajmuje robieniem babek z piasku, dla tego problematyka architektury drapacza chmur jest niezrozumiałą, irracjonalną, a conajwyżej obojętną. Podchodzić do teatru Wyspiańskiego jak do epizodu historji literatury, epizodu dość niewygodnego, a wymagającego jednak skatalogowania i skomentowania z punktu widzenia przejściowej mody literackiej — to znaczy poprostu: zamknąć sobie drogę do zrozumienia tam czegokolwiek. Trzeba wprzód wyzbyć się wielu przesądów, które pokutują w umysłach krytyków dzieł sztuki i uniemożliwiają im dostęp do rdzenia psychiki artysty, trzeba mieć własny system pojęć i światopogląd, trzeba solidaryzować się z autorem w jego problematyce i stosunku do rzeczywistości (a nie próbować udowodnić mu, że taka problematyka i taki stosunek nie mają wogóle sensu!), trzeba wreszcie zdobyć się na twórczą, samodzielną metodę badań, — aby zasłużyć na miano krytyka i interpretatora fenomenów tak niezwykłych, jak Stanisław Wyspiański.

Cybulski poszedł tą właśnie drogą, nie lękając się najśmielszych hypotez i zastosowania metod, dotychczas w krytycznem rzemiośle niepraktykowanych. I rezultaty tego widzimy: 1) nie wykraczając poza teksty Wyspiańskiego, opierając się na własnych jego wypowiedziach o roli teatru (specjalnie w studjum o Hamlecie), doszedł do koncepcji „teatru stającej się historji", jakim jest ten teatr; 2) odsłonił ideje Słowa i Sławy, jako kluczowe dla całej jego architektoniki; 3) odnalazł, powiązał i wytłómaczył wszystkie naczelne motywy i symbole, do jakich da się sprowadzić, nierozwikłalna napozór, symbolika teatru Wyspiańskiego.

I oto wyłonił się przed nami z owego chaosu i z mroków, w jakich miotali się dotąd bezradnie krytycy i komentatorowie Wyspiańskiego, zrąb olbrzymiego gmachu, o zadziwiająco precyzyjnej strukturze, nabrzmiały wszechludzkim i nadludzkim sensem; pomieściły się w jego murach wszystkie odwieczne problemy myśli i woli, wszystkie wielkie style sztuki tragicznej, wszystkie wreszcie elementy rozwijających się dziejów, w ich związku teleologicznym z przeznaczeniami ostatecznemi ludzkości.

II.

Zagadka Genjusza została w ostatnich artykułach Cybulskiego, zamieszczonych w „Zecie", rozwiązana definitywnie (przynajmniej dla mnie). Możnaby jeszcze dodać do tej interpretacji pewne rozwinięcia spekulatywne, możnaby szukać analogij w tekstach ksiąg proroczych Starego Testamentu, w Ewangeljach i w Apokalipsie (jest bowiem teatr Wyspiańskiego sam jakby nowoczesną Apokalipsą udramatyzowaną), możnaby rozprowadzić szerzej to, co Cybulski zarysował w ogólnych, powściągliwych rzutach, — będą to jednak już tylko mniej lub więcej ważne przyczynki.

W konfrontacji z powyższem dostrzegam jasno niewłaściwość pierwotnego określenia przezemnie Genjusza „Wyzwolenia" jako Szatana; zmyliła mnie tu książka samego Cybulskiego pt. „Z mroku jaśniejące Słowo", gdzie motyw Genjusza-Chochoła nie jest do końca rozwinięty (brak systematycznego rozdziału pomiędzy znaczeniami tych dwu symboli), oraz słowa samego Wyspiańskiego („Szatan to czy Bóg?", a także początek scenarjusza: „Scena wielka otwarta, kościół Boga, czy czarta?"...).

Treścią teatru Wyspiańskiego jest tragiczny dylemat każdego życia indywidualnego, będący zarazem dylematem historji, owo „zawieszenie między Piekłem a Niebem" (o którem pisze Cybulski) t. j. pomiędzy ideą Zła a ideą Dobra. Wszystko, co się tu dzieje, ma swój „sens szatański", i ma swój „sens boski". Dlatego chwiejność interpretacji jest niunikniona, dopóki nie odbędzie się *sąd ostateczny*, dokonany przez samą rzeczywistość dziejową, dopóki ludzkość nie zdecyduje sama, jaką obierze drogę.

Jednak architektonika teatru Wyspiańskiego, rozważana sama w sobie, jako aprioryczny plan „stającej się historji", dostarcza nam niewątpliwie kryterjum oceny charakteru (boskiego czy szatańskiego) Genjusza. Porównując mianowicie „Wesele", „Wyzwolenie", „Legjon" i „Akropolis", zobaczymy w nich cztery, coraz to głębsze przekroje tego samego dylematu dziejowego: na powierzchni maskarada szatańska, teatr marjonetek, których sznurki pociąga Czar-Chochot-Zło, władnące sceną („Wesele"); głębiej antynomja tragiczna zasad: boskiej i ludzkiej, reprezentowanych przez Genjusza i Konrada („Wyzwolenie"); jeszcze głębiej, konflikt idei apollińskiej i Chrystusowej, Konrada-Wallenroda i Mickiewicza „Legjonu", „ślubującego się krzyżowi", przyczem krzyż zwycięża („Legjon"); u samej zaś podstawy, będącej równocześnie zenitem historji, tożsamość Chrystusa i Apolla, uosobiona w słonecznym Salvatorze („Akropolis").

Zagadka redukuje się tutaj do odwiecznej sprawy *wyzwolenia się człowieka z warunków fizycznych*, czyli — inaczej mówiąc — do problemu deifikacji człowieczeństwa, określonej w doktrynie mesjanicznej Wrońskiego jako stworzenie się własne człowieka „na obraz i podobieństwo Boże" (Bóg-Człowiek).

Apoteoza ta, jako cel najwyższy historji, jest oczywiście *przeznaczeniem ludzkości*, a więc tem, co Grecy zwali — w przybliżeniu: — Fatum, a chrześcijanie: predestynacją. Ale przeznaczenie to nie może być dopełnione inaczej, jak przez akt twórczej i wolnej woli. Problemat tak postawiony zdaje się być nierozwiązalny, a jednak glob i historja istnieje tylko poto, by został on rozwiązany. Pozorna antynomja pomiędzy przenaczeniem naszem a naszą wolną wolą, piętrzy te wszystkie nieprzeniknione zagadki życia, dające się sprowadzić w alegorji do prostej zagadki Sfinksa, zadanej Edypowi.

Tragiczny dylemat zawiesza nas pomiędzy doczesnością a wiecznością, bytowaniem ziemskiem a nieśmiertelnością poza grobem, względnością ludzką a absolutnością bożą. Wyzwolenie z tej dwoistości, dźwignięcie się ku erze nowej, w Nowe Jeruzalem, w Królestwo Boże na ziemi, ku któremu chce wieść ludy Mickiewicz „Legjonu", staje się postulatem imperatywnym, hamletowem „być albo nie być" dla wszystkich istot rozumnych. Ale z samej struktury tej dwoistości ludzkiego istnienia wynika, że droga do wolności prowadzi tylko poprzez *dopełnienie przeznaczenia*.

Gdy samo ślepe przeznaczenie włada sceną, jak to ma miejsce w „Weselu", nieobecną wolę ludzką zastępuje sprytnie Szatan i pcha marjonetki ku swoim własnym celom; w masce Tajemnicy-Sfinksa (Chochoła) uwodzi dusze ludzkie, aż poczną tańczyć bezwolnie, jak on im zagra. Gdy zaś na scenę teatru dziejów wchodzi świadoma ludzka Wola („Wyzwolenie") i stanie oko w oko z przerażającem nadludzkiemi zadaniami Przeznaczeniem, rodzi się konflikt tragiczny: człowiek nie chce iść poprzez śmierć do wolności w niebie, on chce budować potęgę i szczęście swoje nie *tam*, lecz *tu*, na ziemi. Dopiero klęska, jaką ponosi człowiek w zuchwałej próbie wyzwolenia się poza drogami przeznaczenia, — każe mu poddać się wzniosłemu jarzmu, i użyć Woli swej świadomie jako narzędzia dopełniającego się Losu (Mickiewicz „Legjonu"); straszliwa otchłań śmierci czeka nieuchronnie na tym szlaku dziejowym, ale śmierć właśnie jest koniecznym warunkiem Wniebowstąpienia. I gdy już Wola dopełniła czynów, dyktowanych przez prawa wielkiej, dziejowej Sceny, dwie linje równoległe przecinają się, otwiera się wolny lot w nieskończoność. Zło i śmierć zapadają się w nicość, Los i Wola utożsamiają się w człowieku, dając mu moc samostwórczą, ciałem się stające Słowo. („Akropolis").

III.

Opanować Los-Wolę, oto problemat historji, a zarazem problemat sztuki tragicznej w całym jej dziejowym rozwoju. Genezy poszczególnych, kolejnych stylów w teatrze, szukać należy nie gdzieindziej, jak w różnych trybach i koncepcjach opanowywania Losu przez Wolę.

Gdy sięgniemy do pierwocin teatru, znajdziemy je w prastarych, taneczno-obrzędowych misterjach zamierzchłej starożytności. Podług Cybulskiego, sens tych misterjów polegał na próbie opanowania Losu sposobem magicznym. Głównym aktorem ich był zrazu król plemienia, który tańczył w otoczeniu kukieł i masek, usiłując wzlecieć nad ziemię, przezwyciężyć siły przyrody; poczem zabijano go, a miejsce jego zajmował młodzieniec, król nowy, symbolizujący zmartwychwstanie starego króla. Trickiem tym oszukiwano niejako przeznaczenie, udając przed sobą, że człowiek rozwiązał zagadkę istnienia, przezwyciężył śmierć, bo zginąwszy, mimo to żyje. Później rolę tę obejmowali zastępcy, a wreszcie kukły, palone, lub topione w wodzie. Charakterystycznem jest, że król tańczył w mitrze o kształcie przewiązanego snopa zboża, chochoła. Pozostałość tego teatru pierwotnego widzimy dziś jeszcze pod postacią obrzędów karnawałowych i różnych obrzędów agrarnych, napotykanych u wszystkich ludów, a posługujących się również często wiązką wymłóconej słomy

Idąc po tej linji genetycznej odnajdziemy łatwo analogon ustosunkowania: Los-Wola, w następnych epokach rozwoju sztuki teatralnej. Bohaterowie teatru greckiego podejmują walkę z Losem z heroizmem świadomym, usiłując wznieść człowieka do bogów; ale bogowie odtrącają śmiertelnych od bram Olimpu, nieubłagane Fatum triumfuje zawsze, powalając herosów swoim nieprzemożonym ciężarem. Im gwałtowniej przytem miota się człowiek, chcąc zejść z drogi narzuconego mu Przeznaczenia, tem szybciej i nieuchronniej mu ulega, nie widząc, że każdy jego krok przeciwko Fatum, jest właśnie przez nie podyktowany.

Misterjum chrześcijańskie wzniosło się jeszcze wyżej w hierarchji trybów opanowywania Losu, gdyż bohaterem jego był sam Chrystus, zwycięzca śmierci, Bóg-Człowiek. Dyktuje on sobie sam swój Los, przychodząc zgóry poto, by go dopełnić t. j. zostać umęczonym i zginąć, dla odkupienia ludzkości z pod władzy zła i śmierci. Ale ten triumf Woli nad Losem nie mógł wystarczyć sztuce tragicznej, bo był triumfem istoty boskiej, w której element nadprzyrodzony przeważał à priori nad przyrodzonym, ludzkim.

Stąd nowa epoka w rozwoju sztuki tragicznej, kulminująca w szekspirowskim Hamlecie. Idąc jakby za przykładem arcywzoru misterjów chrześcijańskich, Hamlet usiłuje rozwiązać swe „być albo nie być" w ten sposób, że zamiast „wierzgać przeciwko ościeniowi" obejmuje sam rolę karzącego Losu, choć wie zgóry, że w pojedynku z Laertesem musi zginąć. Doczesny Hamlet staje się tu narzędziem wiecznego Hamleta, użytem świadomie poto, by zło — w osobie Klaudjusza — zostało ukarane, by Sprawiedliwości stało się zadość.

W teatrze pierwotnym i w misterjum chrześcijańskiem przeważa pierwiastek uczuciowy i dążność do opanowania Losu przez śmierć, poza grobem. W teatrze greckim i szekspirowskim na pierwszy plan wysuwa się pierwiastek poznawczy, wraz z dążnością do triumfu Woli nad Losem w sferze doczesnej, na ziemi. Nie trudno wysublimować teraz obydwa te typy: ziemski (apolliński) i niebiański (chrystusowy), dostrzec ich wyraźną antynomję, i szukać ich zrównoważenia, a nawet utożsamienia w nowym stylu sztuki tragicznej, obejmującym już w sobie wszystkie etapy teatru i historji. Będzie to właśnie teatr, o jaki chodziło Mickiewiczowi w kursach paryskich („słowiański teatr przyszłości"), teatr którego podwaliny znajdujemy w „Dziadach", w „Nieboskiej Komedji", w „Samuelu Zborowskim" Słowackiego, a który stworzył, jako pełnię w sobie zamkniętą i świadomą Stanisław Wyspiański.

Najczystszą sublimację obydwu typów antynomji tragicznej ujrzymy tutaj w Konradzie (typ apolliński, doczesność), i Genjuszu (typ chrystusowy, wieczność) „Wyzwolenia". Jeżeli teraz przepołowimy jeszcze dzieje teatru i historję na erę przedchrześcijańską (przed objawieniem Słowa) i pochrześcijańską (po objawieniu Słowa), zrozumiemy jakie to elementy nadają obydwu tym postaciom *sens szatański*, ciążący w sferę immanentną, ku ziemi, i *sens boski*, dźwigający je w sferę transcendentną, ku niebu. To, co jest w Genjuszu z Chochoła, owego króla misterjów pierwotnych, karykatury Boga-Człowieka, umierającego za naród, nadaje mu zabarwienie, łudzące pozorami zła, śmierci, grozy; i to co jest w Konradzie, z Edypa-Orestesa tragedji greckiej, ściganego przez szał krwi i zemsty, przez Erynnje, nadaje mu również pozory piekielne, antychrystowe (anioł ciemności we wieńcu żmij z mieczem zemsty w dłoni — scena ostatnia „Wyzwolenia").

Zagadka Sfinksa postawiona tu jest wyraźnie, kto umie myśleć, sam ją rozwiąże.

IV.

Charakterystyczną cechą nowego Stylu w teatrze, powstającego przez twórczą syntezę stylów, powstałych w epokach poprzednich, jest jego uniwersalność, t. j. przejście od indywidualnego konfliktu Losu i Woli, do ich konfliktu w skali powszechnej globowej. Jakkolwiek już w misterjum pierwotnem i w misterjum chrześcijańskiem pierwiastek społeczny był uwzględniony (król umierał za naród, Zbawiciel za ludzkość), — w przeciwieństwie do teatru greckiego i szekspirowskiego, gdzie dominował raczej problemat jednostki — to łączność Losu indywiduum z losem powszechności dopiero w teatrze słowiańskim, zwłaszcza zaś w Wyspiańskiego „teatrze stającej się historji" została zamanifestowana niezłomnie, jako postulat i prawo najwyższe; odpowiada tej łączności również łączność sfery doczesnej i wiecznej, ziemskiej i pozaziemskiej („Teatr mój widzę ogromny, Ludzie go pełnią i cienie").

Teatr ten, rozszerzając tak niepomiernie, dokonuje jeszcze jednej, zdumiewającej metamorfozy sztuki tragicznej; przestaje być odbiciem, obrazem rzeczywistości, à posteriori, a staje się jej przedujęciem, nieomal nią samą, planem tworzącej się historji, à priori. On konstruuje logikę sceny, on dyktuje wypadkom ich bieg przyszły, wydarzenia mają odtąd dziać się tak, jak on postanawia. Sztuka tragiczna staje się *realną siłą*, warunkującą tok historji. Prototyp tego fenomenu mamy w „Dziadach" (w „Widzeniu ks. Piotra"), rozwinięcie w „Nieboskiej komedji" Krasińskiego, pełne urzeczywistnienie w teatrze Wyspiańskiego.

„Widzenie ks. Piotra", jako prototyp teatru stającej się historji, daje też w ziarnie syntezę jednostki z powszechnością (Człowiek - Ludzkość = SŁAWA *). Toteż Wyspiański bierze je za punkt wyjścia i bazę swego teatru, szczególnie w „Legjonie", który jest poprawionem, zrekonstruowanem i twórczo rozwiniętem „Widzeniem" (wykazuje to dowodnie Cybulski w swym ostatnim artykule); poprzez jego motywy, etapy i symbole odsłania on los Polski i Słowiańszczyzny, a za ich pośrednictwem także los Kościoła i całej ludzkości.

Tajemnica posłannictwa Polski i idących za nią narodów słowiańskich zawiera się tu cała w dylemacie Los - Wola. Obezwładnienie Polski przez przemożny czar Piekła, beznadziejne kręcenie się w kółko w takt muzyki chocholej, *zapoznanie posłannictwa* — to „Wesele". Bunt wolnej woli narodowej przeciwko swemu przeznaczeniu, ucieczka od posłannictwa nadprzyrodzonego, a próba spełnienia go w sferze doczesnej, politycznej, — *złe użycie posłannictwa* — to „Wyzwolenie". Powrót woli na drogę boską przeznaczenia, przyjęcie śmierci dla dokonania Wniebowstąpienia i dla Sławy, *dopełnienie posłannictwa* na ziemi — to „Legjon". Zwycięstwo Woli nad Losem, wyzwolenie całkowite ludzkości z warunków fizycznych, utożsamienie pierwiastka apollińskiego i chrystusowego w nowem widzeniu rzeczywistości, w nowym ładzie moralnym (Jeruzalem Nowe), *dopełnienie posłannictwa w niebie* — to „Akropolis".

Aby unaocznić absolutną ścisłość wyznaczeń, jaką operuje teatr Wyspiańskiego, zwrócę uwagę na jedno jeszcze: oto Konrad, w zgodzie z reprezentowanym przezeń pierwiastkiem apollińskim, immanentnym, uosabia Państwo w jego ambicjach wyłączności i wszechwładzy na ziemi („Zwyciężę na tej ziemi, z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę"); podobnie Genjusz, reprezentujący pierwiastek chrystusowy, transcendentny, uosabia Kościół w jego hypostazie niebiańskiej, wiecznej, poza grobem „Przez wrota grobu do KOŚCIOŁA"!!!) Odpowiednikami są tu również: idea miecza i siły u Konrada (Cezaryzm związany z koncepcją imperjum), oraz idea ducha i posłannictwa przez sztukę u Genjusza (Polska jako założycielka Wszech-kościoła).

Nie tu miejsce na uzasadnienie związku nierozerwalnego między pojęciami Kościoła, Posłannictwa, Sztuki i Śmierci, tak dobitnie podkreślanego w „Wyzwoleniu" (naprzód w rozmowach z maskami, potem zaś w słowach Genjusza). Wystarczy, gdy powiem, że związek taki istnieje i że koncepcja ta znajduje potwierdzenie również w filozofji absolutnej Wrońskiego (której zresztą Wyspiański nie znał): mianowicie *stworzenie się własne*, będące przeznaczeniem ostatecznem ludzkości, dokonać się może tylko w momencie śmierci, dokonanie zaś tego aktu jest posłannictwem istot rozumnych we wszechświecie (mesjaniczność); akt samostworzenia jest też hypostazą samegoż czystego aktu stwórczego, hypostazą pokrywającą się z pojęciem PIĘKNA absolutnego. Gdy dodam jeszcze, że — podług Wrońskiego — sztuka będzie w przyszłej erze dziejowej najwyższym przejawem kultu religijnego w Kościele, jako bezpośrednia uprawa aktu stwórczego, krąg analogji będzie chyba zamknięty.

Jako przyczynek jeszcze słów kilka: charakteryzacja Genjusza na posąg Mickiewicza, jako zalecona przez samego Wyspiańskiego, jest czemś bezspornem (zresztą Genjusz występuje już, jako Mickiewicz, w „Legjonie"); uważam jednak za wskazane, w przyszłych przedstawieniach scenicznych „Wyzwolenia", połączyć rysy Mickiewicza z rysami Sfinksa z pod Piramid, dla podkreślenia uosobianej przez Genjusza zagadki Przeznaczenia. Nie będzie to nawet trudnem, gdyż podobieństwo obydwu tyh masek jest uderzające.

Jerzy Braun.

---

*) Patrz: Hoene - Wrońskiego Unja Absolutna.

Francis Warraina Magnum opus

Francis Warrain L'oeuvre Philosophique de Hoené - Wronski. Textes commentaires et critique — Préface de M. le Professeur Z. L. Zaleski. Tome premier. XXIV+274 p. Les Editions Végа. 43, rue Madame. Paris. 1933. Prix 35 francs.

Zbyt rzadko, niestety, ma się sposobność omawiać wydawnictwo tak wielkiej i nieprzemijającej wartości, jak to, które przychylni bogowie rozłożyli oto na mojem biurku.

Pan Francis Warrain, jeden z najwybitniejszych — choć może nie najgłośniejszych — współczesnych filozofów francuskich, szczęśliwie pozatem łączący w sobie głęboką intuicję artystyczną (sam jest rzeźbiarzem) i rozległą wiedzę matematyczną, dobrze się zasłużył Polsce, od kilku już dziesięcioleci pracując — jakże owocnie! — nad wielkim jej synem, Hoene-Wrońskim.

La Synthèse concrète (1906), *La Triade de la Réalité* (1906), *L'Espace* (1907), *Conception psychophysique de la gamme* (1921), *L'Armature métaphysique, établie d'après la Loi de Création de Hoene-Wronski* (1925), *Quantité, Infini, Continu* (1928), *La Matière, l'Espace* (1930). *L'Oeuvre Psychobiophysique de Charles Henry* (1932). — Oto ważkie kamienie milowe tej drogi, uwieńczonej obecnie dziełem najobszerniejszem, prawdziwie pomnikowem, o którem mam szczęście dziś mówić.

Wydawnictwa tego (odbitego na doskonałym papierze, w dogodnym formacie, ozdobionego pięknie wykonanym portretem Wrońskiego) nie można właściwie nazwać reedycją prac polskiego filozofa. Jest to raczej chrestomatja, ułożona z „francuską" — w najlepszem tego słowa znaczeniu — przejrzystością i metodycznością, czyniącą z niej wprost nieoszacowane *encheiridion* dla wszystkich przyszłych badaczy Filozofji Absolutnej.

Na czele tomu I. znajdujemy przedmowę, w pięknej francuszczyźnie, skreśloną przez prof. Z. L. Zaleskiego. U przekonanyh wrońkistów, treść tego szkicu niewątpliwie wywoła pewne zastrzeżenia.

Zwraca uwagę szlachetnie sformułowana dedykacja; oto jej brzmienie w przekładzie:

„Hołd i wdzięczność tym, których inicjatywa i wspaniałomyślność pozwoliła wydobyć z zapomnienia wielkiego niedocenionego Myśliciela. Obyż jego dzieło mogło stać się natchnieniem zbawiennych kierunków w tej epoce zamętu umysłowego i społecznego!"

Słowa te, które p. Warrain zwraca do niepospolicie ofiarnego mecenasa, jakim jest p. Ernest Britt, filozof muzyki i kompozytor, oraz do jego małżonki, — z niemniejszą wcale słusznością mogą być skierowane do niego samego także.

Całość obliczona jest na siedem tomów. Podaję zwięzły przegląd ich zawartości:

Tom I. Istota, cel i zadania mesjanizmu. Podział filozofji na jej trzy części zasadnicze: metafizykę, architektonikę i metodologję. Rozgraniczenie filozofji a nauki Absolut, byt, wiedza. Władze psychologiczne człowieka. Obszerne uzasadnienie metodologji.

Tom II. Prawo Tworzenia, jego dedukcja krytyczna i genetyczna. „Filozofja Achrematyczna" (pierwodruk niezmiernie doniosłych rękopisów Wrońskiego). Związki Prawa Tworzenia z architektoniką filozofji czystej i filozofji nauk.

Tom III. Architektonika Wszechświata, czyli siedem systematów rzeczywistości podstawowych (ze Stworzeniem się własnem Boga na czele) i trzynaście systematów pochodnych. — W ogólnych zarysach, będzie to zatem przedruk olbrzymiej „Apodyktyki", opatrzonej wieloma wykresami.

Tom IV. Streszczenie matematycznych i naukowych prac Wrońskiego — o tyle tylko, o ile się to przyczynia do lepszego zrozumienia jego założeń czysto filozoficznych. Polityka. Ekonomja społeczna. Państwo, Kościół, Unja Mesjaniczna. Metapolityka.

Tom V. Rozwój postępowy i cel ostateczny ludzkości. Prawo Postępu. Historjozofja. Współczesna antynomja społeczna. Pochodzenie i cechy zgrai mistycznej.

Tom VI. Historja filozofji, czyli stopniowego rozwoju autonomji ludzkiego rozumu. Nomotetyka. Prawda i Dobro.

Tom VII. Jednia końcowa filozofji i religji. Odrodzenie duchowe człowieka i jego stworzenie się własne. Zagadnienie Zła absolutnego. Objawienie religijne [„Nie zamierzam, — pisze p. Warrain, — bronić tu poglądów Wrońskiego wobec kompetentnych władz kościelnych. Ale, mimo ewentualne błędy, co do niektórych punktów, trudno chyba nie uznać, że w poglądach tych zawarte są prawdy głębokie, godne przemyślenia,, i które władzom duhownym mogłyby nasunąć zbawienne zarządzenia"].

Ponadto, zamierzony jest dodatkowy *tom VIII*, poświęcony uczniom i kontynuatorom Wrońskiego, tak w dziedzinie filozofji, jak i matematyki.

W układzie swej olbrzymiej pracy, p. Warrain postępuje w taki sposób: najpierw gromadzi metodycznie wszystko, co Wroński na dany temat napisał, przyczem unika zbędnych powtórzeń i odbieżni, których tak wiele w dziełach naszego myśliciela, wydawanych doryweczo i w arcytrudnych warunkach. (Taka chrestomatja nie może, rzecz prosta, całkowicie zastąpić oryginałów, ale zato niezmiernie uprzystępnia początkowe studja nad Wrońskim). Następnie daje — odmiennym, drobniejszym drukiem — własne komentarze, przypisy i ewentualnie krytyki, niekiedy bardzo obszerne, czasem kilkuwierszowe zaledwie, ale zawsze w iście mistrzowski sposób oświetlające, historycznie i epistemologicznie, omawiany przedmiot. „Wywody Wrońskiego,—powiada p. Warrain,— są w najwyższym stopniu zwięzłe i wymagają od czytelnika wielkich uzdolnień do abstrakcji metafizycznej. Starałem się je udostępnić zapomocą rozwinięć, które mi one poddały".

Tom I zawiera, poza objaśnieniami przedwstępnemi i przedmowami, następujące działy:

A) *Mesjanizm:* 1. Przedmiot i istota mesjanizmu. 2. Rozumowa determinacja mesjanizmu. 3. Prawda. — B) *Filozofja:* 1. Podstawy. 2. Nauka a filozofja. 3. Podziały filozofji. — C) *Rozwinięcia metafizyczne:* 1. Absolut. 2. Byt i wiedza. 3. Wiedza człowieka. — D) *Metodologja filozofji:* 1. Władze i metody. 2. Cecha różnorakich metod. 3. Metody, właściwe filozofji.

Korekta nie bez zarzutu. Wynotowałem kilka ważnych omyłek; czytelnik dobrze uczyni, jeśli je sobie sprostuje przed lekturą: str. 80, w. 23 *ma być* génération (zam. généralité); str. 87, w. 4: subjective (zam. objective); str. 137, wiersz ostatni: la dépondance (zam. l'indépendance); str. 146, w. 16: nécessité (zam. liberté).

Sądzę, że polskie instytucje naukowe, bibljoteki, oraz głębiej myślące osoby prywatne winny jak najgoręcej poprzeć wzniosłą i w najpiękniejszem znaczeniu bezinteresowną inicjatywę francuskich Przyjaciół filozofji polskiej.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Varia

Monografję Mickiewicza wydaje wkrótce prof. Juljusz Kleiner. Praca ta ukaże się specjalnie „na czasie", wobec drukowanych Dzieł zebranych poety w wydaniu sejmowem i będzie tego wydania godnem uzupełnieniem.

Nowy tom Pism zebranych Juljusza Słowackiego wyszedł nakładem Ossolineum we Lwowie, w opracowaniu prof. Juljusza Kleinera (Juljusz Słowacki. Dzieła wszystkie. T. XI). Większą część tomu zajmuje „Beniowski" podany wraz w trzech wersjach, ze szkicami, warjantami. Resztę dopełnia fragment „Księdza Marka". Bibljografję opracował prof. Wiktor Hahn.

Na Norwidowy numer miesięcznika „Droga", który ukazał się w grudniu, składa się bogaty materjał zarówno poetycki, jak krytyczny. M. in. artykuły swe w ogromnym (bo liczącym 220 stron druku!) zamieścili: Wład. Arcimowicz, Wilam Horzyca, Kazimierz Wyka, Stefan Kołaczkowski, Kazimierz Jaworski, K. W. Zawodziński, Manfred Kridl, Tadeusz Makowiecki i in.

Dwutomową pracę o podstawach socjologji wydaje znany socjolog Florjan Znaniecki. Tytuł pracy: „Analytic Methods in Sociology" i „Social Conduct".

Monografję o Tymonie Zaborowskim, zapomnianym romantyku ogłosiła Marja Danilewiczowa. Tytuł książki: „Tymon Zaborowski. Życie i twórczość. 1799—1828". (Nakł. Kasy Mianowskiego, Warszawa).

KOLUMNA POETÓW

pod redakcją Józefa Czechowicza

BOLESŁAW MICIŃSKI

Juljan Apostata

(fragmenty dramatu)

MOTTO: Gdym rzekł, pocieszy mnie łoże moje, i ulży mi narzekania mego pościel moja:
— Tedy, mnie straszysz przez sny, i przez widzenia trwożysz mną.

I OB. VII, 13—14.

Prolog.

(Scena. Pierwszy plan wolny. Drugi przesłonięty mglistą zasłoną. Na drugim planie rekwizyty rozrzucone, bryły geometryczne spiętrzone pod zasłoną w fantastyczne schody. Z sufitu zwisają sznury i przewody elektryczne. Aktorzy snują się wolno, jakby w lunatycznym transie od głębi sceny, aż po mglistą zasłonę).

Mówią kolejno:

1 cień.

Oto jest akwarjum snów.

2 cień.

Osiemdziesiąt metrów sześciennych odgrodziła od widowni szklanna szyba.

3 cień.

Kosmate liny zwisają z bloków na podobieństwo wodorostów.

Zmieszane głosy.

Tam i z powrotem — tam i z powrotem — miękiemi białemi mackami dłoni przylegamy do twardej zimnej szyby.

4 cień.

Oh! Nie wypłynąć nam w mroczne jezioro widowni pomiędzy krzesła...

Zmieszane głosy.

W dół i w górę po szybie szklanej, jak cienie, jak cienie.

5 cień.

Albo w mrocznych kątach sceny brodzić w gęstwinie lin i sznurów, które oblepiają nasze ciała zielonym lepkim pasmem morskiej trawy.

1 cień.

W dzień mózg człowieczy, mały system słoneczny krąży rytmicznym obrotem dwóch przekrwionych półkól, i w skurczu bolesnym szuka podstawowej zasady istnienia, która na podobieństwo ziarnka piasku w muszli perłopława kaleczy białe, miękkie zwoje, a w nocy — w nocy kwitnie pąsowym kwiatem maku.

Zmieszane głosy.

Maaak — maaak — wilgotne czerwone płaty przylgnęły do naszych twarzy.

7 cień.

Twarze nasze podobne są białym chustkom w krwi umaczanym.

Zmieszane głosy.

Maaak — maaak.

8 cień.

...otulił źrenice nasze płatkiem czerwonym pod obrzmiałemi zielonemi pąkami powiek. Dlatego oczy nasze łyskają mdłym, matowym światłem.

1 cień.

W nocy z dnia 27 lutego na 28 tysiąc dziewięcset trzydziestego drugiego roku, urodziłem się w zakątku jego mózgu, w komórce, która nosi długą łacińską nazwę. Tańczyłem na żyłce kruchej i wiotkiej, jak wietek światła, który biegnie od gwiazd w Warkoczu Bereniki.
Śmigałem dwie krwiste pomarańcze.

(śpiewa wolno, rytmicznie poruszając rękoma):

Pomarańcza to słońce,
Cytryna księżyc,
Umiem dobrze żonglować,
Bo mam ręce gibkie jak węże.

Tańczę, tańczę, na wątłej nikłej niteczce, jeżeli pęknie i krew wysączy się z niej na senne polcie mózgu, oczy jego zwrócone teraz w głąb czaszki płonącemi kroplami źrenic — zgasną.

2 cień.

— zgasną... zgasną?... Światło górnego leja zgasło, gdy monter opuszczając kabinę świateł wyłączył kontakt. Cienkie rozżarzone druciki trzepotały się chwilę różowym blaskiem i zgasły. Górny lej śpi teraz jak duża ćma o stulonych skrzydłach.

3 cień (gwałtownie).

Rozłamcie skrzydła ćmy! Czy z nerwów rozgałęzionych i żył podobnych do włókien klonowego liścia spłynie krew? Rozłamcie wiotkie kosmate skrzydła ćmy! — nie spłynie krew! — a przecież na krwi zbudowane jest wszystko, i ona odkupi dusze grzesznych.

1 cień.

— Ergo — czy żyła, na której tańczę ma pęknąć?

3 cień.

— Ergo — módlmy się za ćmy nocne, które nie mając Mesjasza co dzień krzyżowane są przez złe dzieci — rozpinane czterema szpileczkami w kolekcjach motyli.

9 cień.

Koszyk daktyli i czterdzieści fig, oto jest ćwiczenie retoryczne Libanjusza.

3 cień.

...jest punktem przecięcia dwóch linji pod kątem prostym. Na krzyżu rozpinają Chrystusa ćmy i parabole

Aktorka w białej sukni.

Jestem Ofelją, narzeczoną duńskiego królewicza Hamleta i Heleną, żoną Juljana Odstępcy.

(Śpiewa).

Na zapadłym grobie
Rosną lilje rdzawe,
Krew kapie na liście,
I trawę.

9 cień.

Koszyk daktyli i 40 fig. Oto jest ćwiczenie retoryczne Libanjusza.

10 cień.

I chwyciła go śmierć purpurowa i potężna moc przeznaczenia — a to jest werset z Iljady.

Zmieszane głosy. (Co raz szybciej).

Tam i z powrotem — tam i z powrotem. Miękiemi białemi mackami dłoni przylegamy do twardej, zimnej szyby.

4 cień.

Oh! Nie wypłynąć nam w mroczne jezioro widowni pomiędzy krzesła!

5 cień. (Co raz szybciej).

Usta blade przyklejone do szkla na podobieństwo baniek powietrza lub ssawek mątwy.

6 cień.

Mózg — mózg — szybkiemi obrotami przerzuca nas z jednej komory w drugą, z jednej komory w drugą.

Zmieszane głosy. (Co raz szybciej).

W dół i w górę — po szybie szklanej — jak cienie — jak cienie cieni.

1 cień.

A to jest ruch atomów i rzeki ognia...

2 cień.

I pneumy i zwałów ognistych...

3 cień (gwałtownie).

...i wiatru, który roznosi płatki popiołu wiotkie, jak mak — jak mak, który owinął nasze źrenice.

Zmieszane głosy.

Aaaaaaaaa!...
(Rozdzierają zasłonę — wysypują się na plan pierwszy).

Fragment 1 aktu.

(W głębi ogromne okno, na granatowem tle przepływają gwiazdy. Na pierwszym planie gabinet anatomiczny, niski szeroki, marmurowy stół, na nim zwłoki młodego mężczyzny. Nad stołem pochylony Orybazy z lancetem w ręku, obok Juljan. Niżej, na prawo Poeta siedzi na stopniach, skurczony. Podrzuca cytrynę i pomarańczę).

Orybazy.

W rdzeniu pacierzowym identyczne formy powtarzają się rytmicznie.

(długie milczenie)

Zgrubiały w jamie czaszki... medulla oblongata... dalej... nervus vagus wysyła gałęzie do krtani...

Poeta.

Że głos łamie się i więzgnie w gardle?

Orybazy.

...innemi gałązkami reguluje ruchy serca, że bije prędzej lub wolniej, tkwią w nim ośrodki bólu pragnienia i rozkoszy.

(długie milczenie)

Fałdki szarej substancji w przekroju móżdżku. Przekrój jego podobny jest do liścia paproci, i nazywa się arbor vitae.

Juljan.

Drzewo życia?

Poeta.

„I drzewo żywota w pośrodku sadu, drzewo wiadomości dobrego i złego... Ale z drzewa wiadomości dobrego i złego, jeść zniego nie będziesz; albowiem dnia, którego jeść z niego będziesz śmiercią umrzesz".

Orybazy.

Praca 600 miljonów komórek gangljonowych kory mózgowej jest źródłem myśli i wspomnień. W niej jest początek rachunku różniczkowego, ona dyktuje szybkość promieniom świetlnym, w niej są wspomnienia uśmiechów, które umarły w czasie.
(Odkłada lancet, odchodzi na lewo. Myje ręce w marmurowej miednicy, Juljan odchodzi za nim. Poeta trzymając w lewym ręku cytrynę i pomarańczę, skrada się do stołu prosekcyjnego. Pochyla się nad trupem).

Poeta.

Macki nerwów oplotły twoje serce, jak gałązki jemioły.
Gałązki bólu, pragnienia i rozkoszy.
— Twardy jest uścisk bólu, pragnienia i rozkoszy.
(Pochyla się nad trupem, bierze jego głowę w dłonie, otwiera mu oczy i usta).
I gdzie są teraz wspomnienia uśmiechów, które umarły w czasie?

Orybazy (do Juljana).

Życie wszechświata, to przedzierzganie się energji w nieskończoną ilość form, energji, która istniała zawsze, energji, która nigdy nie ulegnie zniszczeniu.

(Podchodzi z Juljanem do okna).

A postanowienia nasze tak są wyznaczone przez swoje warunki, jak zjawiska przyrodnicze.

Juljan (zamyślony).

Wyznaczeni zgóry?
Włączeni w nieustanny proces rozkładu, dojrzewania, falowania, błysków, pełgania cieni, fermentowania, wibracji dźwięków?
— Włączeni w łańcuch, który ruch mojej ręki związał z lotem zwiędłego liścia, rozwojem motylej larwy, pęcznieniem ziarnka fasoli i obrotem ciał niebieskich?

(milczy).

A gdybym jeden ruch — błysk uśmiechu wyłamał z łańcucha następstw, czy zachwiałbym harmonją wszechświata, czy wykrzywiłbym drogę planet i bieg światła?

Poeta.

(zrywa się — staje na stole prosekcyjnym. Rzuca na ziemię cytrynę i pomarańczę. W tej chwili cień jego uwielokrotnia się. Ogromne czarne cienie chwieją się na ścianach. — Krzyczy):
„A gwiazdy niebieskie padały na ziemię, tak jako drzewo figowe zrzuca z siebie figi swoje, gdy od wiatru wielkiego bywa zachwiane.
A niebo ustąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z miejsca się swego poruszyły".
Te są słowa Jana Św. Teologa, ucznia Pana naszego Jezusa Chrystusa, Pana naszego, który zbawił ziemię!

Orybazy (do Juljana).

W kategorji ciał niebieskich, ziemia należy do najmniejszych, miljon razy mniejsza od słońca, a słońc mamy około 30 tysięcy miljonów. Przypuszczalna ilość gwiazd, wyraża się w cyfrze 2×10 do potęgi 24-ej.
Ziarnko — miljonowa część ziarnka.

(Wychodzą).

Poeta (Zostaje sam — zdumiony):

Jeżeli ziemia istotnie jest tak nikłym pyłkiem, jakże weń wprawić mogli drzewce krzyżowe, które według ś-tej Heleny było wysokie na 4 sążnie?

ANTONI MADEJ.

Krzyż

Górą, dołem
wszechświat rozsnuty na noc wieczności
krążył kołem.
Potem — w kąpieli bożej —
byt się wyprószył z nicości,
ożył.

Nadchodzą, nadchodzą cienie.

Bezdomne, złe psy —
grzmoty —
Niebo wstrząsa się furją,
chaosu bełkotem.

Tak
spiętrzone w ogniu wieki
szły.
Za wiekami w czeluściach mroku wrzało
błyskaniem,
odmętów morzem.

Potem zapachło żywicą.
Krzykiem odwrzasły rzeki.
Wiosna stanęła w pogórzu.

— O podaj twarz w blask,
w dzień wschodzący wejdź,
w niebo łask!

Wykreślił się szlak człowieka
w bezmierność dni,
przez wszelaki ziemi czas.

Nadchodzą, nadchodzą cienie.

Z klątwy śmiertelnej grzechu
sypało się próchno zła.

Samotny kroczył ziemią
wielekroć umęczony
duch,
i wyrzeczone było słowo:
przez pot, i ból, i krzyż
postąpisz krokiem wzwyż.

Krzyż,
ofiary znak,
linjami dwiema
przekreślił świat.

Składają się święte słowa:
— „W Imię Ojca i Syna..."
niewidzący wieczystych ścież
z mroków niechaj wypłyną
w błękit.

...„i Ducha"...

W odlocie otwartą źrenicą
wzlatującą niechaj uchwycą
gołębicę.

Zasiewać ugory spękane,
oddawać serce wszystkiemu,
przez ból
pod ciężarem milczenia iść!

Słów beznamiętne paciorki.
Ucieczka.
Mrok i noc.

O nie sprostać srebrnemu nowiu!
I gwiazdom i runi traw!

Misterjum ziemi:
fale życia —
krąg wód głębinowych —
wydłużone twarze cierpieniem.

Miłujemy, Miłujemy.

W skupionem świetle błyskawic,
w ognistym wieńcu burz,
w wichrów zawiei
ten jeden
jedyny znak
krzyż —
symbol nadziei.

Tablice z przykazaniami
nad kłamane wynosimy sny,
szepcząc:
niechaj się stanie
wola Twa, Panie!

Amen!

Filozofja narodu i klasy

Mówiąc o dwu równoległych kierunkach potoku dziejowego, t. j. o kierunku autotetycznym i autogenicznym, mamy zawsze na myśli dwa wysublimowane w metafizyce Brzozowskiego, tryby życia: ten, który jest spontanicznem, przez konieczność narzuconem, utrzymywaniem się w istnieniu, a ma za warunek i ideał życie, jako dzieło świadomie przez nas stwarzane, — oraz ten, który, będąc celowem i wolnem samowytwarzaniem swej rzeczywistości, ma za warunek życie, jako organ najwyższy autokreacji: rozum stwórczy. Pierwszy z tych dwu współrzędnych trybów życia zamyka się w obrębie *indywidualności* rozumnej, idzie tu bowiem, nawet w jego autohypostazie, o daną, poszczególną jednostkę biologiczno-kosmogoniczną, o zachowanie przez nią tożsamości z sobą samą, o jej odgraniczenie zewnętrzne od innych samostwarzających się jaźni. Drugi natomiast tryb życia — jak to już zaznaczyliśmy poprzednio — powstawać może tylko gromadnie, w pewnym układzie społecznym istot rozumnych, w ramach *powszechności*, idzie tu bowiem o autohypostazę danego już a priori (kosmogonicznie) współistnienia wielu jaźni — w ich związek absolutny, polegający na wzajemnem wyznaczeniu się i ustosunkowaniu w tej nowej suprarzeczywistej wspólnocie, ku której zmierza historja.

Uzasadnienie powyższe zbiorowości procesu autogenicznego nie jest jednak jeszcze wystarczające. Ma ona i inne racje, równie doniosłe, a mianowicie: 1) ograniczoność poszczególnych żyć względnych w stosunku do arcyproblematu dziejów, ograniczoność, sprawiająca, że każde z nich może — w ciągu swego trwania — wykonać tylko drobną część zadania, przybliżyć ludzkość o krok tylko do jej absolutnego celu, 2) konieczność stworzenia i utrzymania w bycie nowych sposobów działalności, nowych hypostaz aktu twórczego, nie dających się pomyśleć i zrealizować bez współudziału wielu istot. Wielogłowość, wielojaźniowość kreacyj takich, jak państwo, kościół, produkcja i wymiana ekonomiczna, a nawet rodzina, szkoła, sąd, teatr (podaję przykłady pierwsze, jakie mi się nasuwają) rozumie się sama przez się. Ale i nauka, sztuka, filozofja, religja t. j. pewne kreacje napozór bardzo oderwane, jeżeli tylko ujmiemy je w ich ciągłości, w atrybucie rozumnego rozwoju, nie mogą powstać i trwać inaczej, jak w ramach organizacji społecznej.

W ustępie zatytułowanym: „Kosmos tworem historji", ukazałem, jak radykalnie pojmował Brzozowski tę zbiorową twórczość historyczną i jak dalece uzależniał utrzymywanie się jej na poziomie osiągniętym, oraz jej dalsze potęgowanie, od istnienia organicznych wspólnot społecznych: narodów. Stanowisko to było wysoce konsekwentnem. Jeśli się bowiem uznało wolę rozumną za warunek twórczej i celowej działalności ludzkiej, to najważniejszem zagadnieniem będzie teraz wydobywanie jaknajwiększej ilości tej woli ze środowisk społecznych. I, z tego punktu widzenia, naród będzie najdoskonalszą organizacją zbiorowej woli, dźwigającej na sobie wszystkie te olbrzymie, niezmiernie skomplikowane hypostazy działalności twórczej.

Naród i mowa

Mówiąc o narodzie, ma Brzozowski na myśli nie tyle wspólność warunków biologiczno-kosmogonicznych, w jakich rodziły się i żyły obok siebie poszczególne, w skład jego wchodzące, jaźnie, ile — przedewszystkiem — jedność mowy (nic dziwnego, skoro warunki biologiczno-kosmogoniczne określają — podług niego — przyrodę jaźni, jej indywidualność, a w danym wypadku idzie przecież o powszechność, historję). Mowa, jako najdawniejszy i najdoskonalszy organ wzajemnego porozumiewania się, towarzyszy od pierwszej chwili samowytwarzaniu się narodu. Naród nie może powstać bez języka, czyli bez zindywidualizowanej, skonkretyzowanej jako realny twór historyczny, mowy. Wszystko, co stworzyła historja, ustala się i przechowuje w mowie, w językach. Bez nich nie można sobie wyobrazić żadnego aktu świadomości, utrzymującej się na poziomie historji. Mowa zawarła w sobie wszystkie określenia wszechświata-życia, które już zostały stworzone przez ludzi i które mogą być przez nich komunikowane sobie wzajemnie. Od najpierwotniejszych wyobrażeń o świecie, mitów, wierzeń, obyczajów, aż do całej, wszechstronnie rozbudowanej techniki naukowej, organizacji prawnej i twórczości kulturalnej (filozofja, sztuka), wchłonęła w siebie mowa niezliczone postacie skrystalizowanej w mówione i pisane słowo działalności tworczej pokoleń. Każda nowa jednostka, przychodząca na świat w środowisku historycznem, znajduje się — dzięki niej — odrazu w samym nurcie potoku dziejowego, wchodzi w kontakt z wszystkiemi, dokonanemi i przyswojonemi przez dany naród, kreacjami historji. Kształtuje też ona psychikę jej tak intensywnie, że jednostka taka poczyna z konieczności myśleć o świecie w kategorjach swojego środowiska i dołączać swoje czynności do organizmu czynności zbiorowych.

Mowa nadaje pewną stałość, statyczność nieskończonej, dążącej wciąż ponad siebie, autohypostazie życia. To, co wewnątrz nas dźwiga się z ustawicznego wysiłku woli, jako niewysłowna moc: rozum stwórczy w dziele stwarzanem, — przybiera w kategorjach mowy pozór świata-rzeczywistości, istniejącego niezależnie od nas, mimo nas, poprzedzającego nasze własne istnienie. Dlatego naród, jako zbiór jaźni, używających wspólnego języka, tworzy sobie specyficzne wyobrażenie świata, właściwe tylko jemu, odróżniające go od innych narodów, a zależne od stopnia wyrobienia tegoż języka, organu zbiorowej wypowiedzi. Brzozowski formułuje to tak: „za byt uznajemy instynktownie to tylko, co umiemy wypowiedzieć bez wysiłku w naszem środowisku". „Świat, jako przedmiot uspołecznionego wypowiedzenia musi być wartością dającą się bez trudności przekazywać od jednostki do jednostki, musi być niezależnym od wszelkich cech indywidualnych, a w tej liczbie i od uzdolnień, mocą których jedynie istnieją dla ludzi wogóle jakiekolwiek treści" („Idee" — str. 337—338).

Oczywiście jest to jeszcze jedna z fikcyj gotowego świata, albo raczej ta fikcja podstawowa, na której wspierają się inne. Brzozowski oczywiście zdaje sobie z tego sprawę doskonale, uważa jednak mowę za narzędzie nieodzowne, bez którego potęga dziejotwórcza narodu nie dałaby się zorganizować. Niebezpieczną staje się ta fikcja dopiero wtedy, gdy powstaje w narodzie rozłam pomiędzy warstwą intelektualną i warstwą wytwórczą, t. j. gdy pierwsza przestaje rozumieć kształtującą moc życia, jako czynu i swój kontemplatywno-spekulatywny stosunek do świata uważać zaczyna za absolutne kryterjum rzeczywistości. Wówczas bowiem myśl, posługująca się kategorjami mowy, traci bezpośredni kontakt z samostwórczą działalnością życia, zapomina o potężnym wysiłku woli, utrzymującym na powierzchni ją samą i narzuca życiu swoje wtórne, poznawczo-uczuciowe treści, jako kierujące i normatywne. Działa wtedy hamująco i destruktywnie na dążność społeczności historycznej poza i ponad wszelkie kreacje już dokonane, ku suprarzeczywistej autotelji aktu stwórczego, będącej ideałem dziejów.

Brzozowski kładzie wielki nacisk na wysoką klasę metafizyczną pojęcia narodu. Śmiesznością byłoby wogóle wyobrażać sobie, że kreacje biologiczno-kosmiczne bliższe są istoty Absolutu, niż kreacje historyczne. Rzecz ma się wprost przeciwnie. Im wyżej pniemy się po szczeblach hierarchji t. zw. wartości kulturalnych, w tem bezpośredniejszy wchodzimy kontakt z rzeczywistością absolutną. Brzozowski najwięcej podziwiał w Heglu to, że filozof ten, mimo swego krańcowego intelektualizmu, umiał transplantować abstrakcyjny „rozum" racjonalizmu nowożytnego — w historję, że jego Idea była czemś w rodzaju arcykultury, czemś w samem sobie nawskroś humanistycznem. Zdaniem Brzozowskiego, z im bardziej pojedyńczem, cząstkowem zjawiskiem mamy do czynienia, tem dalej jesteśmy od Absolutu, tem większy to abstrakt w porównaniu z najwyższą konkretnością metafizyczną jego istoty. Proces analityczno-syntetyczny działalności twórczej prowadzi nas doń najprostszą drogą. Im bogatsze rozczłonkowania, tem doskonalsza jedność. Dlatego to życie pojęte jako prawdziwa metoda genetyczna, dąży do samostworzenia się, jako organ podatny do wszelkich ustosunkowań, jako zupełna, absolutna totalność sposobów działalności twórczej; tylko taka postać życia zrealizuje kreacjonizm niewarunkowy, oderwane od świata stworzonego achrematyczne concretum stwórcze.

Otóż naród jest w hierarchji wielogłowych kreacyj historji, w rzędzie coraz bardziej zróżniczkowanych zbiorowości, kreacją niezmiernie wysoko zaawansowaną. Jeżeli idzie o ekstenzywność metafizyczną, o pojemność i wszechstronność, o zdolność do pomieszczenia i udźwignięcia na sobie wielu różnorodnych sposobów działalności twórczej, wielu ciągłościowych symbolów i arcytypów istnienia, — to naród, jak dotąd, jest osiągnięciem dziejowem najwyższem. Przecież wszystkie te kreacje, które wymienialiśmy poprzednio, jako samookreślania historyczne niewysłownej istoty życia, takie jak: filozofja, religja, sztuka, prawo, polityka, nauki, ekonomja, państwo, kościół, rodzina i t. p., mogą współistnieć, utrzymywać się i rozwijać w łonie każdego poszczególnego narodu, wszystkie naraz. Znaczy to, że wśród jaźni, składających się na dany naród, znajdujemy wszystkie możliwe uzdolnienia i potencjalności twórcze, będące indywidualnymi warunkami zakładania, przechowywania w inwentarzu społecznym i rozwiązywania najwyższych problemów dziejowych; masa woli i wynalazczości stwórczej, nieodzownej do istnienia i doskonalenia się tych zbiorowyh kreacyj, jest tu ustawicznie wydobywana i wciąż na nowo reprodukowana. Daje to narodowi cechę wciąż rosnącej, coraz bardziej abstrakcyjnej powszechności, przy równoczesnej wzrastającej konkretyzacji i indywidualizacji, dzięki potężnieniu świadomości narodowej, zrozumieniu swej misji historycznej i urzeczywistnianiu heroicznej dyscypliny militarno-moralno-religijnej. Dlatego Brzozowski uważa za możebne mówić o Francji, Niemcach, Rosji, Polsce, jako hypostazach Absolutu niezmiernie wysokiej klasy.

Warstwa intelektualna i wytwórcza

Ale w łonie każdego poszczególnego narodu (a więc i w łonie całej cywilizowanej ludzkości) dokonuje się powoli, z biegiem stuleci, nader charakterystyczne rozszczepienie. Od pnia wielkiego masywu wytwórczego, bezpośrednim wysiłkiem — t. j. przez pracę — utrzymującego się w bycie, odłącza się i wyrasta w pień drugi coraz liczniejsza grupa istot, których istnienie polega na myśleniu, a nie na wytwarzaniu; istoty te mają do czynienia nie z światem woli żywej, dźwigającej na sobie wszystkie najbardziej podstawowe typy działalności twórczej, lecz z światem wtórnym, zastygłym w kategorjach mowy, tym, który zwie Brzozowski „przedmiotem społecznego wypowiedzenia". „Myśl żyje fikcją, że dość jest ująć, poznać, wreszcie wypowiedzieć; ponieważ są to jej najważniejsze, najgłębsze czynności, więc urastają one w jej oczach w najgłębsze właściwości bytu. Świat staje się czemś stałem, gotowem, jednem dla wszystkich, niezależnem od żadnych własności indywidualnych, od żadnych wreszcie właściwości, od samego życia". („Idee" — str. 338). Ta warstwa intelektualna, unoszona na grzbiecie Atlasa historji, biorąca w procesie historycznym udział tylko pośredni, zajmuje się myślowem opracowywaniem dostarczanych jej przez życie treści i klasyfikuje je, racjonalizuje w sposób martwy, podług szablonów, szematów i teoryj, ulegając złudzeniu, że świat-rzeczywistość da się zamknąć w tych teoretycznych szematach. Nie wie ona, że rzeczywistość jest samostwórczem życiem, które w cyklopowym wysiłku pnie się wciąż wyżej, rozbijając wszystkie skorupy określeń, jakie mu nadają bierni obserwatorzy, będący zresztą sami tylko cząstkami całkującemi jego olbrzymiego, hyperfizycznego procesu; że ono, zawsze niedokończone, zawsze niewysłowne w kategorjach mowy, dąży ku celom ponadkosmicznym i ponadhistorycznym w sferę boską kreacjonizmu niewarunkowego, ku samostwarzającej się nieśmiertelności osobowej i ku absolutnemu związkowi istot rozumnych.

Tworzy się w ten sposób osobna, wystarczająca samej sobie rzeczywistość ekonomiczna, podtrzymywana przez niezależne od myśli teoretycznej siły życiowe, oraz rzeczywistość intelektualistyczna, zamknięty świat myśli, opracowującej wyniki tamtego procesu, jako świat „zastany". Reprezentują te dwie rzeczywistości: pierwszą t. zw. klasa pracująca, drugą inteligencja, specjalnie jej część nietwórcza, pasorzytnicza.

Stosunek ich, z punktu widzenia tworzącej się historji, da się określić w następujący sposób: Grupa pracująca ludzkości przechowywałaby indywidualną, biologiczno-kosmogoniczną moc twórczą życia, wykonując w ustawicznem napięciu woli czynności wytwórcze, przez które jaźń utrzymuje się w bycie. Grupa intelektualistyczna (zwłaszcza w jej prometejskim okresie, przed bankructwem, jakie dziś przeżywa) dokonywała, w oderwaniu od bezpośredniej walki o byt, wielkich kreacyj narzędnych, czysto inteligibilizacyjnych w stosunku do problemu istnienia, produkując nauki, sztuki, systemy filozoficzne, różnorodne postacie komfortu duchowego, wogóle cały świat pojęć powszechnych, abstraktów, kulminujących w wystarczającym sobie racjonaliźmie nowożytnym. Ale jej próby dotarcia do absolutu na drodze czysto poznawczej, myślnej, załamały się wreszcie, zawisły w próżni. W XIX-tym wieku myśl europejska dotarła do granic spekulatywizmu, do samych rubieży chrematyzmu; poprzez rozdarte „przesłony ideologiczne" dojrzano teraz arcyproblemat woli dziejotwórczej, ów słup krwawego wysiłku, na którym trzymały się przez wiele tysiącleci wszystkie te pojęciowe hypostazy bytu. Rozprysł się materjalizm i energetyzm kosmiczny, poprzedzający jakoby ludzkość i historję, rozprysł się idealizm, umieszczający subjektywne wytwory i związki myślowe jaźni ludzkiej w rzeczywistości objektywnej. Dotarto do człowieka, jako kryterjum zewnętrzności, do woli, jako warunku twórczych i wytwórczych czynności ludzkich, do indeterminizmu, ponadlogizmu, poprostu do samego życia. „Nie było wolą Europy stworzyć *wolę:* wolę bezwzględnej swobody, samowiednego tworzenia człowieka przez człowieka. Dziś jednak ta niezmierzona wola istnieje i nie możemy tego zmienić. Nie było planem dziejów, byśmy mogli dzieje planować, dziś jednak możemy myśleć o dziejach tylko jako o własnem naszem samowiednem dziele, lub musielibyśmy nie myśleć wogóle". („Idee" — str. 344).

Tak oto myśl, wyprodukowana przez warstwę intelektualistyczną, doszła koniecznie do postulatu *czynu twórczego,* jako warunku rzeczywistości-świata, jako ich podpory autogenicznej. I założyła ludzkości problemat tak prometejski, że inteligencja, stanąwszy z nim oko w oko, ujrzała się bezradną: aby go rozwiązać, trzebaby użyć całej masy woli, dyscypliny moralnej, twórczego, heroicznego męstwa, a warstwa ta nie posiadała tych zalet. Ale oto pod powierzchnią przekulturzonego, zniewieściałego życia, dostrzeżono tamtą, pierwszą warstwę, podporę autotetyczną rzeczywistości-świata, żywą rzeczywistość ekonomiczna, „świat pracy", który zachował w sobie, dzięki warunkom swego twardego, wytężonego bytowania, wszystkie te cechy, jakich brak było do opanowania historji przez rozumny, celowy czyn twórczy.

U progu XX-go stulecia myśl europejska, z całym swoim prometejskim postulatem *rozumu stwórczego,* ujrzała się zamurowaną w subjekcie, niezdolną do wyjścia w sferę realizacji konkretnej, oderwaną od tych sił życiowych jaźni, które zapewniają jej tożsamość i ciągłość indywidualną i pozwalają nam czynić życie własnem, przez nas *stwarzanem dziełem.* I oto znalazła ona, tuż obok siebie, konkretnego wykonawcę swych abstrakcyjnych planów. Postulat *myśli* (rezultat procesu dziejowego A_1) znajduje odpowiedź i narzędzie w potędze *pracy* (rezultat procesu dziejowego A_2), t. j. w globowej społeczności pracowników, zdolnej do wytwarzania masy woli, heroizmu, dyscypliny organizacyjnej, potrzebnej do wykonania tego nadludzkiego zadania. Dlatego to myśl europejska uczepiła się tak kurczowo mitu o klasie pracującej, o świecie pracy, który — pod jej kierownictwem, a nawet jako samorząd zupełny, wchłaniający w siebie inteligencję, jako warstwę pracowników umysłowych — z łatwością rozwiąże najwyższe problemy historji.

Jak widzimy, myśl Brzozowskiego styka się tutaj z podstawowemi założeniami materjalizmu historycznego Marksa; zaraz jednak wchodzi w konflikt z marksizmem, jako praktycznie stosowaną doktryną. W studjum swem „Anti-Engels" ukazuje on, jak socjalizm, w interpretacji uczniów i współpracowników Marksa, staje się czemś odwrotnem w stosunku do jego założeń podstawowych. Marks stworzył pewną konstrukcję, plan przyszłej historji, ideał karmiony jego własną wolą i czynem; nakreślił świat, który *powinien być stworzony.* Tymczasem Engels potraktował tę twórczą konstrukcję, jako „poznanie" czegoś gotowego, jako odkrycie praw automatycznego rozwoju, jako coś, co się zrobi samo, bo taki jest konieczny proces djalektyczny dziejów. Zrobił on z socjalizmu organizację nowej eksploatacji życia, nowego pasorzytnictwa intelektualistycznego, gilotynując za jednym zamachem świetne postulaty samostwarzania się człowieka i ludzkości, zawarte w pierwotnym ideale.

Nie ulega wątpliwości, że Brzozowski wyidealizował same te podstawowe założenia marksizmu, wkładając w nie własny swój umiłowany arcyproblemat historji. Udowadnianie tego nie leży jednak w programie niniejszego studjum. Dlatego poprzestanę tu na krytyce stanowiska samego Brzozowskiego.

Otóż, przeocza on w swoim szemacie dziejowym: myśl — praca, że ich stosunek wzajemny polega na całkowitej równorzędności (conajmniej!). O ile myśl, w swym prometejskim zapędzie, ujrzała się na krawędzi otchłani, nie mogąc iść dalej bez oparcia się o zorganizowaną pracę, o tyle i praca, w swym instynktownym procesie życiowo-wytwórczym, była — aż do ostatnich dziesięcioleci XIX-go wieku — ślepą, nieznającą siebie samej siłą, i bez pomocy myśli, nie mogłaby się ani wyzwolić, ani tembardziej odegrać tej gigantycznej roli, jaką jej Brzozowski w przyszłości wyznaczał.

Krytyka szematu: „myśl-praca"

Sam Brzozowski mówi niejednokrotnie o tej uśpionej, nieuświadomionej potędze pracy, o roli służebnej, jaką dotychczas odgrywała, o nacisku ślepej konieczności życiowej, jaki był potrzebny, aby wydobyć z warstwy pracującej tę masę woli i jej czynności wytwórcze. Sam zaznacza, że — aby wola ta była wciąż w tej samej ilości wydobywana — nieodzowną była organizacja militarno-religijna społeczeństwa, państwo i naród. Stwierdza też, że gdyby warunki życiowe stały się nagle łatwiejsze, gdyby nacisk hierarchji i organizacji, polegającej na przymusie, zmniejszył się, energja wytwórcza mas niewątpliwie grubo by osłabła. Toteż za najważniejsze zagadnienie socjalizmu uważa on to tylko: jak sprawić, by praca wyzwolona, rządząca sobą sama, pozostała conajmniej równie wydajną, co praca skrępowana.

Z drugiej strony docenia Brzozowski twórczą, konstruktywną rolę wiedzy w kreowaniu coraz nowych sposobów działalności-istnienia. Nauki stanowią przecież nowe samookreślenia się wszechświata-życia, pnącego się w nas ku kreacjonizmowi niewarunkowego, samookreślenia niezwykle subtelne i skomplikowane, nie dające się nawet pomyśleć na poziomie przyrody, jakim jest ostatecznie poziom autotetyczny dziejów. W funkcjach warstwy intelektualistycznej przejawia się więc sama owa wynalazczość stwórcza, owa celowość autogeniczna, kryjąca się w istocie wnętrznej Logosu-wiedzy.

Jeśli teraz umieścimy się w samym owym arcy-problemacie dziejów i spojrzymy z tej perspektywy na dwoisty proces zmierzający ku jego rozwiązaniu, dojdziemy do nieodzownego wniosku, że w procesie A_1 sublimowała się jakby sama antogenja rozumu stwórczego, a w procesie A_2, sama autotezja dzieła stwarzanego, a więc dwa współrzędne aspekty rzeczywistości absolutnej. Epoka współczesna, z jej charakterystycznym fermentem, byłaby tedy dla obydwu tych procesów, w ich izolacji wzajemnej, epoką graniczną. Dalej już żaden z nich iść nie może bez oparcia się o drugi, bez skoordynowania działalności myśli i pracy. Obydwa kierunki utkwiłyby w próżni, znalazłyby się w beznadziejnym impasie, gdyby aspekt spekulatywny i aspekt praktyczny Absolutu nie założyły sobie problematu *utożsamienia,* w zastosowaniu najwyższego narzędzia wiedzy: rozumu stwórczego, do najwyższej autokreacji bytu: dzieła stwarzanego; to zaś dokonać się może tylko w stworzeniu przez niewysłowny akt stwórczy wszechświata-życia — swojej hypostazy absolutnej, nieskończonej a pełnej zarazem totalności sposobów istnienia, czyli nieśmiertelności osobowej.

A więc „organizacja wytwórcza" (samorząd świata pracy) nie byłaby najwyższą kreacją historji, ową postulowaną społecznością globową, konkretyzującą w sobie abstrakcyjną ideę ludzkości, — podobnie jak nie byłaby tą kreacją najwyższą i „organizacja militarno-religijna" (naród). Obydwie one byłyby dopiero przesłankami bytowemi (essencjalnemi) dla tego związku absolutnego istot rozumnych, przyczem przesłankami wiednemi (narzędnemi) byłyby tu: Kościół i Państwo, co gdzieindziej rozwinę i uzasadnię. Dopiero synteza unji wytwórczej i unji intelektualnej, w oparciu o związek państw i o kościół powszechny, dałaby mogła *absolutną unję* istot rozumnych, czyniącą z ludzkości (idei dotąd arcy-problematycznej) owo upragnione concretum metafizyczne; przyczem owa UNJA ABSOLUTNA, stanowiąca istotnie w doktrynie Hoene-Wrońskiego Prawo Najwyższe historji, winna być organizacją stworzoną wyłącznie dla celu absolutnego dziejów, dla celowego i świadomego spełnienia przeznaczeń ostatecznych ludzkości, określonych powyżej trafnie, jako autohypostaza aktu stwórczego, dająca nam jednocześnie wiedzę absolutną (odkrycie istoty wnętrznej Boga) i byt absolutny (nieśmiertelność osobową).

Zagadnienie tak postawione, rozwiązane jest w historjozofji Wrońskiego w sposób tak przejrzysty, że twórcze antycypacje Brzozowskiego zdają się być jego celowem, prolegomenicznem przygotowaniem. Mianowicie: potęga autogeniczna myśli jest tam określona, jako element *wolności ludzkiej,* zaś potęga autotetyczna pracy (samozakładanie się w bycie), jako element *przyrody ludzkiej.* Harmonja, twórcza koordynacja obydwu tych elementów, mająca być dokonaną w epoce współczesnej, ukazuje nam się jako Prawda Absolutna (od strony rozumu stwórczego) i Dobro Absolutne (od strony dzieła stwarzanego). Przyszła zaś era, era doskonałego ładu kosmiczno-mesjanicznego, byłaby tożsamością celu fizycznego (samowytwarzanie) i celu hyperfizycznego (samo-stwarzanie), urzeczywistniająca ideał nowego człowieka i nowej ludzkości.

Jerzy Braun.

GUSTAW KRKLEC

Wspomnienia młodości

I.

Skąd w wieczór ten
szklany, późny, milczący,
kiedy czas stanął i świat,
jak burza bezkres tnący,
gwizdem przeorał niebo
meteor jasny i spadł?
Skąd?
W wieczór ten?

Lub, może to nie był wieczór?
Dzieciństwo przepływa tajemnie,
jak lasem bezgłośny strumień.
Lub, może to nie był meteor?
Oto myśl jedna gwałtowna,
jak krzyk podniosła się we mnie.

O, jak zboże dojrzewa i pachnie bujna trawa,
o, jak rano bose stąpa zdradziecko
przez modry, daleki sad,
w którym śpi dziecko.

II.

Tak padła jednego dnia
w noc duszy dziecinnej,
jak zapalona pochodnia
o Bogu i Rosji myśl.

I tak uderza
na śpiącą dziecinną duszę
(jak w jaki dziw)
płonącej myśli moc.

Lecz gdy jest nad dzieckiem noc,
bezkreśna — szeroka, modra
i wiosna, młoda, szalona.

Tłum. Zdzisław Kempf.

Poduszki

Dziś rano rzeczy to martwe ciała
z martwemi zamkniętemi oczyma
z bladą woskową twarzą
dziś rano szary płaszcz
nakrył cały pokój
i barwy ponure jak jesienne myśli
kiedy ciężkie krople deszczu biją w szyby.

Dziś rano mgły wlokły się pod mojem oknem
jak ponure wdowy
i szyby zamulone mleczne i siwe
i pokój pełen zaspanych snów.
W mrocznym kącie stało zamglone zwierciadło
jakby mu ostatnia róża więdła w martwych głębinach.

Tylko poduszki wesoło śpiewały pieśń
o białem ciele kobiety.

Tłum. K. Namysłowski.

Leon Chwistek — Demon Intelektu

Znowu filozofja (III)

Tu wystepuje analogja świata skończonego ze światem poglądu życiowego. Tak jak przez względność czasu i przestrzeni w znaczeniu Einsteina t. zn. zależnie od szybkości, obserwator (czy w postaci żywego stworzenia, czy przyrządu) wlazł w równania fizyki, jako coś ostatecznego, tak samo jak szybkość światła i stała Plancka są stałemi nie do wyeliminowania (a przecież na stałej szybkości światła opiera się teorja względności) i ubezwzględniają wszystko w pewien sposób, tak samo jest z tą (choćby zmienną, ale zmienną według jakiegoś prawa) skończoną wielkością świata, która w związku z temi wielkościami stałemi nabiera nowej cechy bezwzględności: wielkości te ubezwzględniają się jakby wzajemnie. Właśnie to, że linja prosta (nasza euklidesowa, nie ogólna, która może być wielkiem kołem, czy czort wie czem) jest nie do zdefinjowania przy pomocy pojęć czysto geometrycznych, nadaje jej specjalne znaczenie istnieniowe, rzeczywistościowe — dowodzi, że ona właśnie jest istotną i od niej pochodne są pojęcia inne, jak n. p. linji geometrycznej i że nasza rzeczywista przestrzeń Istnienia jest euklidesowa. Nazywając różne krzywe prostemi możemy oczywiście twierdzić, że wszystko zależy od tego, czy posługujemy się prostą euklidesową, czy riemanowską — ale to nazwanie nie pozbawi zasadniczych niesprowadzalnych cech linji prostej euklidesowej. Na podstawie tego, że najkrótszą drogą na Giewont jest ściana od Strażysk, nie będę twierdził, że prostą jest w tym wypadku (wycieczki na Giewont) linja „giewontyczna" przedstawiająca tę drogę. W każdym razie opieranie tylko na tem że „intuicyjnie tylko prosta euklidesowa jest możliwa, a analitycznie możliwe są te inne gatunki prostych „krzywych" (i na jakichś bardzo zawiłych specjalnych wyjątkowych wypadkach z matematyki) prymatu czystej analizy w stosunku z bezpośrdnio danych naprzekór oczywistym danym poglądu życiowej rzeczywistości, jest koncepją sztuczną, pozwalającą tylko na podważanie wszelkiej najbardziej oczywistej rzeczywistości na podstawie drobnych wyjątków, dla zadowolenia instynktownej potrzeby pluralizmu, sceptycyzmu, relatywizmu, wogóle myślowego bałaganu empirystów, ponad którym tylko logika formalna unosi się jak widmo prawdy, ale wyblakłej, sformalizowanej, pozbawionej wszelkiego zastosowania, nierealnej — znaczki i reguły operowania niemi — oto wszystko — gdzie, w jakim świecie, poco — nikogo to nie powinno obchodzić. Dzieje się i staje się niepojęta rzeczywistość, „zgrubsza" tylko dająca się opisać, a w niej — czy ponad nią raczej — są znaczki i reguły — dość. Oto jest beztroska wizja Chwistkowo-Russellowskiego świata, nieporządnego, zagwazdranego w swej istocie, wieloznacznego i logicznie brudnego, w którym można umysłowo tarzać się dowoli we wszystkich kierunkach, a na odpoczynek przebywać w eksterytorjalnej jakby czyściutkiej kabinie logiki, płodząc tam setki i tysiące twierdzeń, może absolutnie prawdziwych, ale bezpłodnych w stosunku do ujęcia tej pogwazdranej, czy wielorakiej tylko i pogardą nieobciążonej rzeczywistości.

Wracając do nieszczęsnych „systemów indywidualnych", zaznaczyć należy, że Chwistek nie podaje zupełnie jakie według niego powinni przejść przygotowanie ci, którzyby zamierzali zabrać się do tworzenia owych systemów. Nie wiemy czy mają coś przeczytać (n. p. Principia Matematica, czy Wielość Rzeczywistości), czy też „siąść" poprostu i pisać. Przykład o wieży Marjackiej przemawia za tą ostatnią hypotezą. To jest wprost potworne. Przecież dotąd były robione właśnie tylko systemy indywidualne, ale z wiarą w możność osiągnięcia prawdy absolutnej i to było przyczyną, że w każdym z nich było ziarenko prawdy i że ostatecznie — pomijając różnorodność typów kierunków filozoficznych — w przyszłości w istocie do jednego sprowadzalną, dały wyraźną linję postępu w dziedzinie filozofji, którego pluralistyczni empiryści zupełnie nie uznają. Nie wiemy zupełnie jakie są kryterja wartościowania tych systemów i tej zasady Chwistek absolutnie ze swego stanowiska podać nie jest w stanie, poza banalnemi regułami, dotyczącemi wogóle każdego myślenia[1]). To, że porównując dwa systemy indywidualne przenosimy się automatycznie do systemu wyższego typu, jest złudzeniem „teorji typów", która (o ile dobrze ją rozumiem — wątpliwość ta w tych parażach nie dowodzi jeszcze zupełnego idjotyzmu czytającego) zrodzona tylko dla uniknięcia paradoksów, z któremi nie mogła dać sobie rady logika tradycyjna i które polegają na niewłaściwem używaniu słowa „wszystkie" „wszyscy" i która nie ma żadnego istotnego znaczenia, prócz czysto werbalnego uspokojenia zbyt może skrupulatnych umysłów co do wspomnianych paradoksów. Rozwiązanie przy jej pomocy jakichkolwiek problemów jest zupełnie iluzoryczne — jest to najczystszy werbalizm, który właśnie Chwistek niesłusznie zarzuca Husserlowi i Ingardenowi, bo mimo że możemy się nie zgadzać z ujęciem rzeczy i terminologja tych autorów, to faktem jest, że w sferze fenomenologji mamy przecież do czynienia w każdym razie z realnemi problemami, a nie fikcyjnemi rozwiązaniami tychże, jak to jest według mnie ze stosowaniem praktycznem teorji typów. „Hierarchja twierdzeń jest niepotrzebna *nigdzie*" — powiedział sam Russell i miał według mnie rację. Ale Chwistek chce przejść swego Mistrza i popada w czysty werbalizm. „Specyficzne źródła poznania" nie będące ani doświadczeniem (w ścisłem, nie Kantowskiem znaczeniu), ani rozumowaniem (rozumowanie nie może być źródłem poznania, tylko środkiem, przy założeniu pewnych pojęć i ich stosunków) tkwią w systemie pojęć koniecznych, pochodnych częściowo od systemu pojęć poglądu życiowego. Tylko przez analizę tych pojęć i ich kombinowanie i tworzenie koniecznych nowych, posługując się rozumowaniem i sprawdzając pewne wyniki doświadczeniem a nie tworzeniem „konstrukcji" i to częściowych możemy rozszerzyć nasze ogólne, nie empiryczne, poznanie. I o to chodzi właśnie fenomenologom w mojem zrozumieniu. Możnaby sobie wyobrazić fenomenologję nominalistyczną, bez założeń szkoły Husserla i z tą, chyba sam nawet Chwistek mógłby się co do metod jej zgodzić.

Do kwestji wielości rzeczywistości powrócę później, zaznaczając tu tylko, że problem sądu o rzeczywistości jako elementu rzeczywistości jest problemem pozornym. Poprostu zakładamy mówiąc o rzeczywistości, że sądy nasze do niej nie należą, ale tak samo zakładamy, że wogóle nie należą do niej wszelkie wogóle sądy pisane i drukowane — cały świat pojęć wogóle, traktowany nie jako zjawisko psychiczne w danem indywiduum (to należy bezsprzecznie do rzeczywistości) tylko jako suma elementów znaczeniowych. A więc do rzeczywistości należeć będzie książka „Krytyka czystego rozumu" Kanta i przeżycia autora przy pisaniu (będzie to rzeczywistość była — bez pojęć Czasu i Przestrzeni mówienie o rzeczywistości nie ma żadnego sensu) jakoteż przeżycia (czucia, myśli, wyobrażenia, zrozumienia itp.) każdego czytającego, ale do rzeczywistości nie będzie należeć sama koncepcja świata Kanta jako taka, która będzie tylko indywidualnem przeżyciem każdego, a na podstawie wspólności pojęć i ich źródeł i wogóle wspólnych właściwości różnych ludzi, może być wydzielona jako to, co Husserl nazywa „ideale Bedeutung", objektywnie, czyli inter-subjektywnie. Będzie ona wydzielona jako to, co wszyscy rozumiejący ją dokładnie i istotnie (idjoci n. p. czytający mechanicznie muszą być wykluczeni) uznać muszą za jej istotę — poza swemi czysto indywidualnemi przeżyciami. To samo stosuje się do każdego wogóle znaczenia zdania i pojęcia. Jeśli się jest realistą i uznaje się wielość rzeczywistych psycho-fizycznych indywiduów, to niema wtedy w problemie intersubjektywności, traktowanym nominalistycznie i realistycznie, żadnych tajemniczych głębi. Taksamo niema problemu nieszczęsnego chwistkowego „obserwatora mnożącego się w nieskończoność" o ile przyjmie się ciągłość osobowości (Chwistek „dla fasonu" i epatowania lubi i temu zaprzeczać[2]), która jest oczywista, a następnie możliwość — a właściwie konieczność — przeżywania wspomnień czegoś, co aktualnie kiedyś było. Wtedy nie potrzebujemy przechodzić do coraz „wyższych" (?) typów obserwatora, tylko poprostu rozpatrujemy naszą osobowość z przed minuty, czy dwóch lat, a następnie rozpatrujemy tę-że przeszłą chwilę naszej osobowości, która ta osobowość rozpatrywała inną chwilę. To samo jest z każdym sądem w znakach zafiksowanym. Zaznaczyć trzeba, że ogromnie łatwo jest pluralistyczno-sceptycznie rozbabrać ten bałagan i stać nad nim z tryumfem, z wyłupionemi oczami i tryumfować właśnie z tego powodu, że wszystko jest tak płynne i pojęcia tak wieloznaczne i płynne również, że nic się powiedzieć na ten temat nie da. To jest tanie, jak „pistolijet w bazarnyj dień za tri kopiejki". Ale właśnie wybrnąć z tego, nie obrażając „świętych" przekonań poglądu życiowego, t. zn. nie stojąc z nim w sprzeczności, ani z logiką — to jest zadaniem trudnem i o to właśnie chodzi i chodziło w filozofji, a nie o beznadziejne konstatowanie swojej *ostatecznej* bezradności. To jest bezpłodny banał. Jakkolwiek ostatecznie filozofja nigdy nie znajdzie rozwiązania pozytywnego, którego spodziewali się dawni mędrcy, to jednak — prócz pewnych zdobyczy negatywnych — nawet sama droga rozwoju z wiarą w osiągnięcie celu była piękna i wartościowa sama w sobie, — „ciena nie w tom, czto my naszli, no kak my etowo iskali".

Co do determinizmu i indeterminizmu, wydaje mi się że dyskusja na ten temat, jakie prawo rządzi światem, bez uprzedniego rozjaśnienia problemów podstawowych filozofji i wypowiadanie przedtem jakichkolwiek sądów — jak to czyni sobie od niechcenia Chwistek — nie ma żadnego sensu. Pogąd na te sprawy zależy od tego, do jakiego typu poglądów należy ogólny pogląd danego autora. Według mnie cała skala systemów idealistycznych, od solipsyzmu aż do idealizmu uznającego realność innych jaźni, a nie uznającego realności (bez określenia narazie czem on być może) świata między-jaźniowego, należy do strony fałszu, implikowanego w pewnym sensie przez samo Istnienie, przez jego konieczną dwoistą strukturę: 1) czasowo-przestrzenną, a dalej 2) przez to, że zawsze musi być jedno Istnienie Poszczególne w przeciwstawieniu do całego nieskończonego Istnienia poza niem. Poglądy te implikowane są w tem znaczeniu, że logicznie mogą być bez zarzutu (nawet do solipsyzmu z tego punktu widzenia przyczepić się nie można), a przy pewnej deformacji — nie dającej się absolutnie myślowo wyeliminować, a jednak mimo to bardzo wyraźnej, lecz dla pewnych typów myślowych (schizoidalnych) przyjemnej — zdają w pewien powierzchownie zaokrąglony sposób sprawę z całości problemów Istnienia, przy pomocy pewnych założeń dodatkowych i pozornie niesprowadzalnych pojęć[3]) z całości problemów filozofji. Dalej idzie bez ciągłości przejścia realizm pół-idealistyczny (czysty t. zw. „naiwny", a w istocie mocno „przesofistykowany" realizm, jako monizm absolutny Macha jest absolutnie nie-do-utrzymania) w różnych swoich postaciach, jako jedyna według mnie doktryna prawdziwa. W obrębie idealizmu mamy absolutny indeterminizm czystej jaźni, a wszelkie ograniczenia jego należą do sfery „doświadczenia" (pojętego najszerzej) i są nieistotne. Konieczność zaś fizykalna jest wynikiem „przyporządkowania" (coś w rodzaju harmonji przedustanowionej Leibniza). Według realizmu, uznającego, że świat składa się tylko z jednego rodzaju bytów i to istniejących samych w sobie jako czasowo-przestrzenne Istnienia Poszczególne (takie jak n. p. my sami) w różnych stopniach swej hierarchji, swoboda tych indywiduów jest względna, podobnie jak w poglądzie życiowym, a pozorna absolutna fizykalna konieczność (czy też statystyczna, przybliżona w określonych granicach) jest właśnie wynikiem statystyki „myślowego rzędu", a mianowicie: sumowania się względnie nieoznaczonych działań Istnień Poszczególnych, czyli stworzeń żywych w wymiarach dość dalekich co do wielkości i małości od danego rozpatrywanego „stworu", n. p. nas samych. Konieczność, (której pojęcia nie trzeba bynajmniej czynić pochodnem od pojęcia przewidzialności, implikującego kogoś, dla którego coś jest koniecznem jak u Franka n. p.) jest przybliżona, a w istocie panuje *względna* swoboda indywiduów (w znaczeniu stworzeń żywych). W ten sposób rozwiązuje się do pewnego stopnia kwestja stosunku psychologistycznych nieuniknionych założeń i faktów bijologji, w stosunku do poglądu fizykalnego, również do przyjęcia koniecznego. Wydaje mi się to jedynem rozwiązaniem, myślowo koniecznem, według pewnych istotnych dla każdego możliwego Istnienia założeń, jednak doświadczalnie niesprowadzalnem i implikującem pojęcia graniczne i związane z niemi pojęcie Tajemnicy Istnienia, które w pewnym sensie narzuca się i w poglądzie logicznym[4]) jako niemożność zdefinjowania wszystkich pojęć i jakiegokolwiek ich systemu. Rozstrzygnięcie kwestji indeterminizmu przez Chwistka przy pomocy zasady „na dwoje babka wróżyła" jest zupełnie tanim frazesem, o ile nie poda się istotnego swego poglądu, na którym on się opiera. W ten sposób można wogóle zaznaczyć tylko problematykę filozoficzną i na tem poprzestać; ale to uczyniono już dawno przed Chwistkiem i w tej chwili, gdy filozofja walczy o swój ostateczny, samobójczy pogląd, tego rodzaju negatywizmy nie mają żadnego dla niej znaczenia. O ile się jest idealistą, można się wymigać przy pomocy sztucznych konstrukcji i dopasować je jako tako do pozornego chaosu rzeczywistości; o ile się jest realistą, nie można poprzestać na tanich stwierdzeniach banalnych stanów rzeczy — trzeba powiedzieć coś pozytywnego, a to jest trudne i niebezpieczne. Każde pozytywne twierdzenie (z wyjątkiem formalnych) musi być — dla umysłu tego rodzaju co Chwistek, t. zn. płynnego, empirystycznego, sceptycznego, relatywistycznego, pluralistycznego, wogóle umysłu, który dobrze się czuje w nieporządku, w pojęciowym bałaganie (z wyjątkiem nieobowiązującej do niczego i wszystko, wszystkie założenia mogącej strawić, byleby bez jawnej sprzeczności, sfery formalnej) — torturą nieznośną, jak to sam autor wyznaje: mówi on, że woli nawet gwałt fizyczny niż to, jeśli mu ktoś coś chce narzucić jako prawdę. Oczywiście — zależy od sposobu narzucania — sposobowi djalektycznemu nic zarzucić nie można — można tylko nie słuchać danych wywodów, co też nasz Demon stale czyni, nie odpowiadając na zarzuty wprost i operując jadowitą aluzją.

S. I. Witkiewicz.

(C. d. n.)

---

[1]) Pilnie wszystko notować, unikać sprzeczności i t. p.

[2]) Natomiast nie lubi dłuższej rzeczowej dyskusji. Nie odpowiada, a potem wybucha z gniewem apodyktycznie i miażdży. „Il est agréable d'écraser les hommes lorsqu'on est jeune — mais ce n'est pas agréable d'être écrasé, lorsqu'on commence à vieillir" — oczywiście zawsze na to można odpowiedzieć: „z takim jak pan nie gadam" — ale to już jest brudnaweryzm: liczenie na głupotę otoczenia.

[3]) Pojęciami takiemi są: „intencjonalna odrębna od „hyletycznej" (wrażeniowej) świadomość, pojęcie „aktu", a założeniem n. p. przyjęcie pojęcia „przyporządkowania" (dla objaśnienia związków w świecie w poglądzie fizykalnym) jako pojęcia pierwotnego.

[4]) To jest poglądzie, w którym rozpatrujemy formy stosunków pojęć, przyjmując pojęcie pojęcia jako nie podlegające definicji i określone implicite aksjomatami logiki.

Wernyhora i prof. Kleiner

Wyszedł tom XI Dzieł wszystkich Słowackiego pod redakcją prof. Kleinera wydawanych przez Zakład narod. im. Ossolińskich we Lwowie. Tom obejmuje pośmiertne pieśni Beniowskiego, już w swoim czasie przez prof. Kleinera ogłoszone w Bibljotece Narodowej (wydanie drugie wyszło w r. 1923). Wstęp i objaśnienia zostały opracowane na nowo. Układ poematu, ustalony poprzednio, pozostał ten sam, ale uległ rewizji opartej o ponowne przestudjowanie autografów, częściowo dawniej niedostępnych; stąd drobne zmiany i wzbogacenia oraz szereg nieznanych warjantów. Jeśli nie jako układ — który choć przekonywujący, zawsze będzie mógł być pojęty inaczej — to jako tekst, można to wzorowe wydanie uważać za definitywne.

Piszącego oczywista interesowało najbardziej zobaczyć, co w tem nowem opracowaniu stało się z Wernyhorą. Istotnie jest postęp. W lat trzydzieści dwa po Weselu a w szesnaście po wstępie do francuskiego przekładu — gdzie po raz pierwszy wskazano, czem Wernyhora jest zarówno u Wyspiańskiego jak u Słowackiego — czyta się już takie zdania pod piórem polskiego historyka literatury: „Zarazem pieśniarz-prorok nęcił i niepokoił tajemniczością niesamowitą". Nasuwały się widocznie myśli o wpływie ujemnym, skoro niby pierwszą „duchów świętych wojnę świętą" poeta zaznaczył konflikt między lirnikiem a ks. Markiem" (str. 10). Z przypisku do „ujemnych" wnosić można, że prof. Kleiner o tej ujemności dowiedział się dopiero od p. Boleskiego; widzę, że i moja praca nieznaną mu nie była, skoro w objaśnieniach (str. 383), choć bez podania źródła, zużytkowuje to, co w „Słowie" (str. 125) mówię o pochodzeniu Wernyhory Wesela. Ale ważniejsze jest inne echo moich pisanin. Nowe wydanie Beniowskiego prostując objaśnienia do „Odmiennego opracowania Historji Wernyhory" (str. 407) usuwa definitywnie bałamuctwa, które wyznanie „Bo ja nie Kozak — ino duch piekielny" kładły w usta Bogu ducha winnego Zaboja, — co pozwalało nie rozumieć tego ustępu i czego tak uporczywie czepiali się ci, co za wszelką cenę chcieli przeanielać Wernyhorę.

Zapewne to gwoli ich pocieszenia prof. Kleiner próbuje jeszcze coś uratować z legendy. „Pomysł ten — pisze w d. c. zdań cytowanych — nie zdołał się utrwalić; lirnik zajął stanowisko doradcy i opiekuna analogicznie do sędziwego karmelity". Stwierdzić wobec tego należy: 1) że ustępami, w których Wernyhora zdaje się wobec Polaków odgrywać życzliwą rolę, są w pierwszej redakcji rady dawane Beniowskiemu (Pieśń XII) zaś w drugiej, wstrzymanie walki z Kozakami (Pieśń VII B); 2) że nic w zachowanych pieśniach i fragmentach nie wskazuje, by te poczynania Wernyhory, były w jego zamierzeniach, dla sprawy polskiej przyjazne; 3) że przeciwnie piekielny charakter lirnika, *w tych ustępach z tym samym naciskiem podkreślany co w innych*, kładzie tę hipotezę między bajki. Pomysł konfliktów z ks. Markiem nie zdołał się utrwalić? Pomysł ukraińskiego wieszcza kłamiącego przyjaźń i przeklinającego proroctwem, utrwalić się zdołał w Śnie srebrnym. A choć nie wiadomo, czem by się Historja Wernyhory była stała w Beniowskim — pewnem jest, że nic w tym poemacie stwierdzić nie pozwala, by Słowacki kiedykolwiek tę postać widział inaczej niż ją widzi ks. Marek; by kiedykolwiek z ks. Markiem na równi, jako naszego doradcę i opiekuna, chciał stawiać Szatana.

Prof. Kleiner zapewnia, że wprowadzenie Wernyhory do Beniowskiego odpowiadało dążnościom ludowym, demokratycznym, autora i że wzbogaciło ideologję poematu przez to, że „lira żebracka", uosobienie pieśni ludowej, „wzniosła się na piedestał harfy wenedyjskiej" (str. 11). Jest to zawsze to samo, gdy o Wernyhorę idzie, wyczytywanie w Słowackim tego, co popisali inni n. p. Czajkowski. Stosunek poety do tych spraw jest bardziej skomplikowany niż te banały. Słowacki na tę z Djabłem przeciw Polsce sprzymierzoną Ukrainę patrzy się nietylko okiem artysty rozmiłowanego w jej pięknie, ale i człowieka, który współczuje krzywdom — wzajemnym. I coś podobnego mimo wszystko żywić dla nas każe Wernyhorze. Ale ten ton *liryczny*, który n. p. w Śnie srebrnym brzmi nawet poprzez straszliwą ironję przekleństwa, w niczem nie zmienia faktu, że demoniczny lirnik — zgoła zresztą niedemokratyczna figura*) — reprezentuje nie „naród śpiący, który już we śnie umierać zaczynał".... (str. 295) ale naród, który się z grobu obudził i chce się oderwać z łańcucha a dla Polaków ma tylko zemstę i zdradę. Te strofy o lirze, któremi się hipnotyzujemy jak idjoci, przecież one nie do polskiej pieśni ludowej się odnoszą — *ale do ukraińskiej.* I przecież po to, by ta lira, która ongi „imię Boga" w polskie progi wnosiła (str. 158), nie dostała się w ręce Wernyhory — by jej „straszne nie wzięły Anioły" (str. 207) — rozłamać ją próbuje i spalić przykazuje jej ostatni posiadacz, przedstawiciel dawnej Polakom oddanej Ukrainy. Na jaki zaś piedestał „lira żebracka" się wznosi w Bieniowskim — mówi ten, którego prof. Kleiner, by ukontentować wszystkich, promuje Wernyhory kolegą:

„Ta lira... w trumien znaleziona rdzeniach!
Już jej głos serce narodu osłabił,
A na niej szatan czarny gra w płomieniach
I luda już pół z Baru mi wywabił!
Jak wąż, co błyszczy swą koroną w cieniach
I blaskiem ściąga słowika, by zabił:
Tak ów kozacki pół-duch na złe radzi
I swoją smętną pieśnią gdzieś prowadzi
Na zaginienie!"

mówi to samo co *Wesele*. Któż u licha, gdyby nie istnienie historyków literatury, mógłby kiedyś zrozumieć, że w Polsce w okamgnieniu można było odbronzować Mickiewicza, ale lat pół kopy nie wystarczyło na odbronzowanie Djabła? A. Ł. C.

---

*) „Pana na nim znać było" (str. 80), „bo ja nie sługa, lecz brat jestem panów" (str. 208), i t. d. Stąd „pan-dziad z lirą". Wesela, gdzie u Wernyhory te same „straśnie polskie miny", ale „demokratyzmu" — tyle co w tym z Beniowskiego.

O polichromję Wyspiańskiego

w kościele O. O. Franciszkanów w Krakowie

Poruszając piekącą sprawę zbiorów po Stanisławie Wyspiańskim zagrożonych rozproszeniem i przejściem w niepowołane ręce, wspomnieliśmy również o niebezpieczeństwie, jakie grozi przepięknej polichromji, wykonanej ręką Poety-Malarza, w kościele O. O. Franciszkanów w Krakowie. Polichromja ta niszczeje z roku na rok i już dziś restauracja jej pochłonęłaby znaczne sumy; w przyszłości jednak impreza ta będzie znacznie kosztowniejsza jeszcze, nie mówiąc już o tem, że każdy dalszy rok zwłoki utrudniać będzie niepomiernie pracę rekonstrukcyjną tym, którzy się jej podejmą. Dlatego pośpiech jest i tu konieczny. Widok tej ruiny wielkiego dzieła artysty jest tem boleśniejszy, że daje rażący kontrast w zestawieniu ze zdobiącemi ten sam — tak ukochany przez Wyspiańskiego — kościół, witrażami, te bowiem nieśmiertelnem swojem, zawsze żywem pięknem, jakby maskują to smutne zaniedbanie.

Co do kosztów ewentualnego odnowienia, to kustosz konwentu O. O. Franciszkanów oświadczył, że mogą oni tylko bardzo niewielką kwotą przyczynić się do tego dzieła. Toteż wydaje nam się, że powinny je pokryć: gmina miasta Krakowa, wraz ze swemi instytucjami finansowemi, takiemi jak Kom. Kasa Oszczędności, Kasa Powiatowa i. in., oraz czynniki rządowe, do których powinnaby się udać delegacja złożona z przeora O. O. Franciszkanów, oraz wybitnych przedstawicieli świata artystycznego, oczywiście fachowych w tej dziedzinie. Najbardziej powołanym do zaopiekowania się tą sprawą byłby oczywiście Departament Sztuki i Kultury.

Rzecz prosta, że przedtem musiałaby określić kosztorys całego przedsięwzięcia komisja fachowych artystów, specjalnie stworzona dla tego celu.

Zanim jednakowoż znajdą się fundusze na samo — bardzo kosztowne niewątpliwie — odnowienie, należałoby przedtem, i to w jak najbliższym czasie dokonać szeregu czynności przygotowawczych, w porządku następującym:

1) Najwierniejsze sfotografowanie wszystkich pól polichromji w obecnym jej stanie (rzecz *najpilniejsza*, gdyż proces niszczenia postępuje niezmiernie szybko, rysunek ginie, a farby się zacierają);

2) sporządzenie jaknajdokładniejszych kartonów *z szczegółowem zanotowaniem kolorystyki* polichromji, w obecnym jej stanie, co mogliby zrobić uczniowie Akademji Sztuk Pięknych pod kierunkiem artysty, któremuby powierzono prace restauracyjne;

3) odnalezienie i zgromadzenie *zachowanych kartonów*, które Wyspiański wykonał w związku z pracami nad polichromją, a których niemało istnieje w zbiorach prywatnych i muzealnych;

4) wydobycie klisz, które Wyspiański kazał robić podczas malowania kościoła i po ukończeniu malowania (zdjęcia fotograficzne robione dla niego), oraz klisz robionych z polecenia innych ludzi do rozmaitych publikacyj (np. do pisma „Architekt);

5) wydobycie zdjęć fotograficznych, całości i fragmentów polichromji;

6) poczynienie koniecznych kroków, — już przed renowacją, — by zapewnić odnowionej polichromji wszystko, co nowoczesna technika uczynić jest w stanie dla zapobieżenia przyszłemu niszczeniu (przedewszystkiem wpływom wilgoci);

7) zdecydować rozważnie i rzetelnie, komu z artystów należałoby powierzyć kierownictwo prac rekonstrukcyjnych, aby sprawa nie dostała się w ręce ludziom niepowołanym, niedorosłym do tego dzieła talentem, lub też nie dającym dostatecznych gwarancyj, że pójdą po linji jaknajwiększego pietyzmu dla pierwotnego twórcy polichromji i jego artystycznych zamierzeń.

Wszystkie te nieodzowne kroki wstępne, zwłaszcza zaś pierwsze dwa punkty, muszą być poczynione w bardzo krótkim przeciągu czasu, gdyby bowiem nawet cała ta impreza musiała być z tych czy innych względów na dłuższy czas odłożona, — wykonanie ich stworzy gruntowną podstawę pod wszelkie przyszłe prace renowacyjne, zachowując przynajmniej wierny obraz obecnego stanu polichromji.

I w tej sprawie zwracamy się z gorącym apelem do władz, do gminy miasta Krakowa, tak dbałego o charakter sanktuarium pamiątek narodowych, jaki ma gród podwawelski, do prasy artystyczno-literackiej i codziennej, wreszcie do szerokich kół społeczeństwa: Ratujmy polichromję franciszkańską!

Przypominamy tym czytelnikom, którzy dotychczas nie odnowili prenumeraty za kwartał bież. że będziemy zmuszeni wstrzymać im dalszą wysyłkę „Zetu".

Misterja Norwida

Zofja Szmydtowa: O misterjach Cyprjana Norwida. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1932. Str. 194.

Z wszystkich dotychczasowych studjów i prac o Norwidzie, książka ta posiada bodajże najwięcej zalet. Głębokość ujęcia przedmiotu, tak rzadkie u kobiet poczucie syntezy, dociekliwość i przenikliwość w odgadywaniu symbolów i alegoryj konstruowanych przez poetę, zżycie się ze stylem tak lakonicznie lapidarnym i pełnym charakterystycznych „przemilczeń", — wszystko to predysponuje autorkę do roli wybitnej interpretatorki „norwidianów". A rola to wielce odpowiedzialna dziś, w okresie żywego zainteresowania twórczością norwidową, której brzemienny treścią owoc krył się w łupinie zbyt twardej dla ludzi ubiegłego stulecia.

„Monografja, obejmująca całokształt działalności literackiej Norwida, należy do przyszłości ze względu na braki w zakresie wydań i opracowań pism poety" — pisze autorka. Dlatego ogranicza się ona skromnie do studjum krytycznego o „Krakusie" i „Wandzie", dwu misterjów religijno - narodowych Norwida, do których przykładał on specjalną wagę, skoro napisał je ponownie, „gdy teksty pierwotne zaginęły, czego poeta w podobnym wypadku z innemi pismami nie czynił". Ale wyniki jej pracy nad tym fragmentem twórczości poety, rzucają światło i na jej całość, na światopogląd Norwida, na jego osobowość, oraz na jego metody kompozycji i realizacji artystycznej. Nie pomija ona bowiem niczego w swem studjum, wnikając zarówno w sam sens i cel ideowy tych utworów, jak w ich genezę w umyśle poety, zarówno w źródła historyczne, jakiemi się posługiwał, jak i w szczegóły budowy obu misterjów i w tajniki „trudnego" norwidowego stylu. Miłość dla przedmiotu i czujna postawa badawcza połączyły się więc — jak widzimy — w tej książce z sumiennością rzadko spotykaną, dając w rezultacie rzecz piękną i cenną.

Najważniejsze tezy autorki podaję w skrócie:

1) Misterjum oznacza u Norwida tragedję o charakterze religijnie wiążącym losy ludzkości z Bogiem, ujawniającą zatem celowość nadprzyrodzoną historji i udział narodów i epok we wcieleniu się tej celowości w tok dziejów (wyraźna analogja do pojęć Mickiewicza o nowym teatrze słowiańskim, oraz z Wyspiańskiego „teatrem stającej się historji" przyp. mój);

2) podania i mity stworzone u wstępu dziejów narodu, są rzutowaną w przeszłość wizją jego *przyszłych* losów, ukazując w ten sposób krąg zamknięty, gdzie koniec wiąże się z początkiem, — przeto „odpominać się muszą pod koniec narodu dziejów i pod końce czasów", jak wyjaśnia sam Norwid;

3) misterja o „Krakusie" i „Wandzie" są słowiańską alegorją - powtórzeniem posłannictwa Chrystusa, jego męki, śmierci i zwycięstwa nad Szatanem.

Tezy te, których słuszność jest przez autorkę, na podstawie tekstów i poglądów samego Norwida, wszechstronnie uzasadniona, możnaby konsekwentnie sprowadzić do jednej: Misterja Narwida odsłaniają nam alegorycznie przyszły los Polski, jej posłannictwo dziejowe analogiczne do ofiary Chrystusowej, zakończone triumfem nad złem i podźwignięciem ludzkości do Boga. W tem ujęciu są one wyraźną antycypacją teatru Wyspiańskiego, rewelującego — jak to stwierdza Cybulski — zagadkę przeznaczeń Polski i ludzkości, zwycięską walką z Szatanem.

P. Szmydtowa wprowadza rozróżnienie hierarchiczne między „Krakusem" a „Wandą": w pierwszem misterjum zwycięstwo nad smokiem, szczątkiem wieczystej emanacji Zła, zwyciężonego już niegdyś (przez śmierć Zbawiciela), w drugiem starcie samejże głowy Szatana, uosobionej w Rytygerze, nasuwające na myśl motyw Niewiasty depczącej łeb węża (z Pisma św.). Znowuż przypominam tu wyraźne skojarzenie postaci Rytygera z Antychrystem, w „Legendzie" Wyspiańskiego, z uwzględnieniem nawet cech zewnętrznych, używanych przy jego opisie („zwierz białowłosy").

Oczywiście, jak tego wymaga istota i forma misterjów, początek i koniec dziejów organicznie się tu przenikają, tak że wszystko, co się w nich dzieje odnieść można ze ścisłością do dawnej, mitycznej Polski, gdy się umieści akcję w momencie narodzin ery chrześcijańskiej: motyw śmierci Chrystusa, świetności już mierzchnącej Rzymu i budzącej się zaborczej ekspanzji germańskiej (na Wschód i na Południe) splatają się tu w jeden historyczny węzeł; przytem posłannicza rola Polski da się umotywować tem, że już wówczas, w okresie mitycznych dziejów, Polska pierwsza w Europie pojęła i wcieliła w sobie ideę ofiary, stając się a priori ludem Chrystusowym, ludem Bożym.

Autorka podkreśla następujące charakterystyczne momenty: Wawel jako centrum świata *) (w „Wandzie"), zderzenie prawdziwej idei narodu reprezentowanej przez Polskę, z podobnem hordzie zdobywczej „koczowiskiem germańskiem". I Niemcy i Polska stoją tu u wrót nowej ery, ale gdy „furor teutonicus" chce ją realizować mieczem i potęgą trzeźwego, pogańskiego rozumu, rozmachem woli, cichy słowiański lud wesprze ją na fundamencie ducha, twórczej ofiary, harmonji i ładu.

„Tak więc akcja misterjum gruntuje się nietylko na ziemi polskiej, w sferze działań wrogich sobie plemion, nietylko w blasku Rzymu i idących przez Polskę wpływów Europy i Azji, ale *w miejscu, które dla swej misji pośmiertnej wybrał Chrystus* (podkreślenie moje!). Stał się przez to gród Wawelski jakby centrum świata, skupiającem najistotniejsze dążenia i wydarzenia epoki, wyniesionem ponad bieg czasu i jego ideały *w sferę celów wyższych i ostatecznych*" (str. 57). Autorka przypomina tu znaną teorję środka stworzoną przez Norwida („środek po polsku sposób znaczy"); Polska jest tu środkiem stających się dziejów, centrum epoki i globu, a przez to i sposobem najdoskonalszym dźwignięcia nowej ery.

Rywalizacja Rakuza z Krakusem (Niemiec z Polską) o dopełnienie misji zniszczenia zła i ocalenia ludzkości, kończy się w „Krakusie" upadkiem pierwszego, mimo jego woli zwycięstwa, siły i pośpiechu; strąca go pycha i żądza władzy, a smoka zabija właśnie cichy i pokorny, w cieniu pozostający Krakus. W „Wandzie" Rytyger uosabia świetną inteligencję, wolę i potęgę germańską, jego miłość do Wandy objawia się w chęci przykucia jej do swego rydwanu, wprzągnięcia w swoje cele. Wanda (Polska) ulega jego urokowi, który ją obezwładnia, paraliżuje i wtrąca w dziwną rozterkę wewnętrzną; mimo to otrząsa się ona z tej miłości, odsuwa Rytygera i zdobywa się na akt najwyższej samoofiary, będący zarazem wyrwaniem ludzkości z sideł szatana i z mroków śmierci.

W charakterystyce tych przeciwstawionych sobie postaci, wysuwa się na plan pierwszy w Rakuzie i Rytygerze moment dydynamiczny (działania, pośpiechu, siły, ufności w wagę planów rozumu), zaś w Krakusie i Wandzie moment statyczny, oparcie o niewzruszoną moc Boga, pokora i spokój, jakby niedostrzeganie grożących niebezpieczeństw, w które idą oboje bez trwogi. *j. b.*

*) Por.: idea centralna Wawelu w teatrze Wyspiańskiego.

Gorzki urodzaj

Kazimierz Wierzyński: *Gorzki urodzaj.* 116 str. J. Mortkowicz. Warszawa 1933.

Rara avis: tomik wierszy, napisany przez — (prawdziwego) poetę.

Charakteryzować Wierzyńskiego niema potrzeby: jest szeroko znany. Wypada scharakteryzować — z konieczności nader zwięźle — niniejszy tomik.

A jest w nim, jak zwykle u tego autora, znamienne rozdwojenie: optymizm pragmatyczny, a refleksyjny pesymizm. Temperament, wraz z chętnie ulegającą mu wolą, ostroży Wierzyńskiego w bujny, żywiołowy, czasem dionizyjski rozpęd; ale jego refleksja niemal zawsze jest gorzka i obolała. Ta rozterka wewnętrzna, ta dwoista postawa, jest wyborną *in concreto* ilustracją tego, co w filozofji absolutnej rozróżniamy *in abstracto* jako T e c h n j ę (to co *uczynić należy;* rzeczywistość przez nas wytwarzana; dziedzina *celów,* a więc *woli)* a T e o r j ę (to co jest *dane;* rzeczywistość od nas niezależna; dziedzina *poznania).* Współczesna myśl, niedość jeszcze samodzielna, kurczowo się trzyma tej drugiej, uparcie przeoczając własną rolę t w ó r c z ą we wszechświecie; stąd owo śmiertelnie bolesne nastawienie, którego jakże pięknym wyrazem poetyckim jest Wierzyńskiego wierszyk p. t. „Tu":

„Przyśliśmy tu, by powtórzyć Wszystko, co było przed nami, Raz jeszcze wzbić się i burzyć I gasnąć pokoleniami. Przebyć raz jeszcze to samo, Co już boleśnie przebyto, Maleńką jątrzyć się raną Nad wielką pustką niebytu. I w beznadziei tej do dna Otchłanne zmierzyć bezbrzeże, Dotrzeć, gdzie śmierć niezawodna Ostateczności swej strzeże".

Im zaś głębsze p o z n a n i e tragizmu *tego, co jest,* tem okrutniejszy ból u c z u c i a i współczucia; aż chce się zawołać:

„Daj mi serce kamienne i głuche... Może to mnie uleczy, uwolni od bolesnej nadludzko czułości..."

Ale właśnie ten „absolut w naszem uczuciu", hipostazowany pod nazwą sumienia, nieprzeparcie i wbrew biernej refleksji mówiąc nam o naszej o d p o w i e d z i a l n o ś c i, pcha nas przemożnie do uznania twórczej roli naszego rozumu. Powiadamy sobie wówczas: Poza życiem jest nicość?... To cóż! My na niej, jak na ekranie bezwolnym, rozepniemy swoją wolną twórczość — jak ON, Który ze Swej myśli powołał świat do istnienia.

Tę autogeniczność rozumu ludzkiego dobrze wyczuwa Wierzyński, kiedy mówi o Liryce — a więc o zupełnie autonomicznej twórczości naszej — że jest ona poto, by

„...nocą zguby, gdy światy runą, Na samo dno się zwalą rozbicia, Trwać ocalałą, świetlistą łuną Nad sensem śmierci i życia".

Słowo jest Wierzyńskiemu przedziwnie posłuszne; często układa mu się ono w esencjonalnie poetyczne obrazy, które ucieszą Bremond'a w jego świeżym grobie: Księżyc, to „zielony w niebie staw platyny"; słowik „gulgoce grochem na szpicu języka"; Nowy York to „Neapol nasztorc wbity"; Santa Monica: „miasto w słonecznej oliwie, domy w zielonej pogodzie"; wiosna „leżąc na wietrze, Od Karpat podpływała skroś bzy namoknięta... Jak wieczór, który w niebo lał złotą oliwę, Jak noc, która sitowie czesała na wodzie".

Rym przeważnie tradycyjny, częstokroć bardzo wyszukany. Rytmika prawie zawsze regularna, wiersz w prawidłowe układający się strofy. (Czy moja miłość do tego właśnie kształtu — to tylko staroświecczyzna?... Czy nie jest on może odbiciem tego „wolnego przymusu", utożsamienia Wolności i Konieczności, będącego samymże rdzeniem Aktu Absolutnego?).

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Wronskiana

1) Godofredo Garcia, prof. uniwersytetu św. Marka w Limie (Peru), o którego pracach z zakresu mechaniki niebios Hoene-Wrońskiego niejednokrotnie już wspominaliśmy w naszem piśmie, a który podane przez Wrońskiego prawo najwyższe mechaniki wyprowadza w sposób wręcz odmienny (rozważając ruch względny i posługując się na samym początku rozumowania pojęciami tak momentu, jak i siły), w ostatnim zeszycie „Boletin de la Sociedad Geografica" umieścił rozprawę z dziedziny mechaniki nieba, rozpoczynającą się temi słowami: „Prawo empiryczne ciążenia powszechnego, przyjęte przez Newtona, potwierdzone prawami Keplera i Kopernika i udowodnione przez prawo podstawowe Wrońskiego, poprowadzi nas do utwierdzenia zasady powszechnego ciążenia". — Tak tedy, Polak zapoczątkował mechanikę niebios, Polak ją zakończył!

2) Paulin Chomicz w „Dniu Polskim" (warszawskim) i „Czasie" (krakowskim) z d. 5 grudnia, w artykule p. t. „Wskrzeszenie Hoene-Wrońskiego" uwydatnia coraz bardziej wzmagający się w całym świecie cywilizowanym ruch dokoła doktryny Wrońskiego i omawia świeżo wydany w Paryżu pod redakcją i w opracowaniu F. Warrain'a t. I dzieł H.-Wrońskiego.

3) Józef Jankowski w Nr. 11 „Pionu" z d. 16 grudnia pisze o rozpoczętem we Francji zbiorowem wydaniu dzieł filozoficznych Hoene-Wrońskiego. Artykuł zdobią trzy portrety: H.-Wrońskiego, F. Warrain'a (naukowego kierownika całego wydawnictwa) i E. Britt'a (hojnego mecenasa, który finansował wydawnictwo).

4) W najbliższych dniach ma być odsłonięty pomnik H.-Wrońskiego na jego mogile na cmentarzu w Neuilly (koło Paryża). Rzeźbę wykonał dobrze znany w Polsce Franciszek Black (urodzony w Warszawie).

5) Artysta-rzeźbiarz Adam Krzemień (z Wilna) ofiarował Towarzystwu Hoene-Wrońskiego (w Warszawie) popiersie Hoene-Wrońskiego.

O rękopisy Żeromskiego

Wacław Borowy, jeden z najwybitniejszych krytyków i badaczy Żeromskiego, pisze w przedmowie do „Elegij" (pośmiertny zbiór drobnych pism Żeromskiego, opracowany przez Borowego, a wydany u Mortkowicza):

„Są jednak zapewne jeszcze inne drobne utwory Żeromskiego, w rękopisach i w druku, które tu nie zostały uwzględnione dlatego, że wydawca nie zdobył o nich wiadomości, albo dlatego, że — mając wiadomość zbyt mglistą — *nie zdołał ich odszukać* [1]). Być może, że *wyjdą one najaw po zbadaniu zbiorów wycinkowych i rękopiśmiennych, które Żeromski zapisał Polskiemu Klubowi Literackiemu,* a z których nie można jeszcze korzystać. Być może, że tom niniejszy (którego druku nie wydawało się rzeczą słuszną odwlekać) *skłoni wiedzących do ogłoszenia uzupełnień".*

Borowy pisał to w listopadzie 1927 roku, jednakowoż „wiedzący", w przeciągu lat pięciu t. j. do grudnia 1932 uzupełnień nie ogłosili. Sprawa spuścizny rękopiśmiennej po Żeromskim przedstawiała się niejasno, dając podstawę do różnych domysłów i pogłosek. Proces między Miriamem — Przesmyckim a redakcją „Zetu" i red. Jerzym Horzelskim, miał ten dobry skutek — między innemi — że wyświetlił nieomal definitywnie tę zagadkę. Na podstawie zeznań świadków: Anny Żeromskiej, wdowy po pisarzu, Janiny Mortkowiczowej, właścicielki księgarni wydawniczej, oraz Ferdynanda Goetla, prezesa Pen-Clubu, można już sobie wyrobić w miarę dokładny obraz, co zawiera ta zagadkowa doniedawna spuścizna i w jakim znajduje się stanie.

W I-szej instancji nie dowiedzieliśmy się niczego istotnego. Była tam mowa o legacie, przekazanym przez Żeromskiego Pen-Clubowi, którego jednak Pen-Club, w braku odpowiedniego pomieszczenia, nie mógł przejąć (Żeromski postawił za warunek doręczenia legatu posiadanie przez Pen-Club własnego lokalu); legat znajduje się więc narazie u wdowy po pisarzu w Konstancinie. Była też mowa o jednym tylko zeszycie, zawierającym pamiętnik z lat młodzieńczych, który zresztą — na wyraźne życzenie Żeromskiego — nie może być opublikowany; słyszeliśmy też coś o zbiorze korespondencji. Wszystko co nadawało się do wydania, zostało już wydrukowane w „Elegjach", co stwierdziła podczas rozprawy dobitnie p. Mortkowiczowa, osoba dostatecznie miarodajna w tym względzie, gdyż firma Mortkowicz była stałym wydawcą pism Żeromskiego.

W Sądzie Apelacyjnym sprawa okazała się bardziej skomplikowaną. Przedewszystkiem już po rozprawie w I-ej instancji, w grudniu 1932, zostały opublikowane pierwsze z tak upragnionych przez Borowego uzupełnień. Firma Mortkowicz wydała mianowicie, w opracowaniu Hanny Mortkowiczównej *„Dziennik z podróży", zawierający wyimki z kilku zeszytów* (dokładnie przez H. Mortkowiczówną w przedmowie opisanych) *z zapiskami* „o charakterze pamiętnikarskim", dającemi „rewelacyjne materjały" dla przyszłych biografów Żeromskiego, zwłaszcza w zakresie charakterystyki metody jego pracy pisarskiej.

Hannie Mortkowiczównej użyczyła ich wdowa po pisarzu, która stwierdziła też obecnie, że tych kilka zeszytów stanowi rzecz osobną, niezależną od pamiętnika, o którym była mowa w I-szej instancji. Co do samegoż pamiętnika, okazało się, że wersja o jednym zeszycie wynikła z niezrozumienia, nazbyt pobieżnych zresztą, zeznań p. Żeromskiej. *Pamiętnik składa się z 19 grubych zeszytów,* których treść nie jest nikomu znana (sama p. Żeromska nie czytała ich również); niestety, dostęp do tych skarbów jest zamknięty, Żeromski bowiem, wyraził życzenie, by były one opublikowane dopiero w 50 lat po jego śmierci. Co do powyższych kilku zeszytów zastrzeżeń tych nie było, nadają się więc one do ogłoszenia drukiem. Prócz owych 19 + kilka zeszytów, znajdują się w Konstancinie skrzynki z korespondencją, posegregowaną i uporządkowaną przez samego Żeromskiego (z zeznań wynikałoby, że jest tego bardzo dużo).

Ze słów prezesa Pen-Clubu, Ferd. Goetla, okazuje się, że spuścizna ta (w pierwszym rzędzie była mowa o legacie dla Pen-Clubu) nie jest dotychczas zinwentaryzowana, tak że nic pewnego o niej powiedzieć się nie da. Ze strony Pen-Clubu zajmował się temi sprawami Wacław Borowy; ale Borowy bawi od lat w Londynie, wobec czego nikt fachowy nie opiekuje się tą spuścizną. Taki stan rzeczy musi budzić poważne zastrzeżenia, i to zarówno z naukowego i literackiego, jak i ogólno-narodowego punktu widzenia, gdyż spuścizna po wielkich pisarzach jest skarbem całego społeczeństwa i nie może pozostawać bez nadzoru.

Ostatnio pracowity krytyk Wiktor Doda wykazał na dosadnych przykładach, jak niechlujnie, z dowolnemi przekręceniami tekstu, wydawano dzieła Żeromskiego. Podobny dowód braku pietyzmu mamy w faktach przytoczonych powyżej, a dotyczących braku kompetentnej opieki nad spuścizną po wielkim pisarzu. Trudno nie wołać głośno o naprawę tych niewesołych stosunków.

[1]) Podkreślenia nasze.

Kronika

„Wybrane czterowiersze" Omara Chajjama (w tłumaczeniu z perskiego oryginału przez Andrzeja Gawrońskiego) ukazały się nakładem Wydawnictwa Zakładu Nar. im. Ossolińskich. Pięknie przez nieżyjącego już tłumacza (zmarł w r. 1927) przełożone wiersze będą pierwszym dokonanym na język polski przekładem z oryginału perskiego — zostały wydane w przepięknej szacie zewnętrznej.

Kazimiera Iłłakowiczówna wydała nakładem wydawnictwa Zakładu Nar. im. Ossolińskich zbiór wierszy p. t. „Ballady bohaterskie". Na zbiór ten składają się następujące cykle: Ballady bohaterskie (Warneńczyk, Żałosne pieśni o Barbarze i Auguście, Czarniecki, Żeligowski, Wiersze belwederskie (i Ballady zwyczajne) Kwiaty przy drodze, Służące, Obrazki z podróży po Czechosłowacji, Wiersze doraźne, Obrazki na tle „Don Karlosa").

Ukazał się nowy, szósty zeszyt „Promu" poznańskiego o charakterze dosłownie takim, jak poprzednie. Najwidoczniej dłuższa przerwa w ukazywaniu się pisma nie wpłynęła na rewizję estetyki i poetyki redaktorów.

Ksiądz dr. Ludwik Zalewski, znany bibljofil i historyk ukończył pracę p. t. „Dzieje partyzantki Zaliwskiego. W setną rocznicę 1833—1933 r.".

Lublinianka, Sabina Ekielska, otrzymała I nagrodę na konkursie tygodnika „Co tydzień powieść", za utwór p. t. „Na fali życia". Jest to obok Hanny Malewskiej druga zkolei pisarka lubelska, zdobywająca nagrody konkursowe.

„Refleksy", nowa książka milczącego oddawna krytyka, Feliksa Araszkiewicza, obejmie szereg jego prac pomniejszych i to zarówno drukowanych, jak i niedrukowanych.

Książki i czasopisma

Albin Dziekoński: Dwa głosy. Warszawa 1933. Skł. gł. Gebethner i Wolff. str. 45.

Zygmunt Tyski: Pegazowe zołzy. Warszawa 1933. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Str. 60.

Rocznik Literacki pod redakcją Zygm. Szweykowskiego Warszawa 1932. Instytut Literacki. Str. 382). Kołaczkowski St.: Literatura polska 1932 r.; K. W. Zawodziński: Liryka; St. Adamczewski: Dramat; L. Piwiński: Powieść; St. Pigoń: Wznowienia; Przekłady; W. Borowy: Literatura angielska; W. Chwalewik: Literatura anglo-amerykańska; St. Essmanowski: Literatura hiszpańska; J. Gołąbek: Literatura jugosłowiańska; L. Piwiński: Literatura niemiecka; R. Blüth: Literatura rosyjska; St. Kołaczkowski: Literatura skandynawska; St. Pazurkiewicz: Literatura węgierska; M. Brahmer: Literatura włoska; Z. Czerny: Literatura francuska; Literatura rumuńska; K. Górski: Literatura podróżnicza; St. Furmanik: Literatura pamiętnikarska; St. Kossuthówna: Książki dla dzieci i młodzieży; J. Krzyżanowski: Literatura polska; St. Furmanik: Literatury obce; J. E. Skiwski: Laureaci 1932 r.; H. Elzenberg: Estetyka; L. Płoszewski: Czasopisma literackie; P. Grzegorczyk: Literatura w encyklopedjach; M. Twarowska: Estetyka książki polskiej; P. Grzegorczyk: Literatura polska w przekładach. Teatr: Wł. Zawistowski: Uwagi ogólne; Teatry warszawskie; Wł. Miedniak: Teatr katowicki; M. Rusinek: Teatr krakowski; T. Terlecki: Teatry lwowskie; B. Dudziński: Teatry łódzkie; St. Papée: Teatry poznańskie; T. Łopalewski: Teatr wileński.

Kamena (nr. 4 — grudzień 1933). K. A. Jaworski: Na marginesie „Tygodnia Książki Polskiej"; wiersze: J. Czechowicza, Grzegorza Timofiejewa, Jana Brzękowskiego, Konrada Bielkiego, Zenona Waśniewskiego, Antoniego Madeja, Wita Kasperskiego. Antoni Madej: Współczesna liryka słowacka; przekłady z poezji czeskiej i słowackiej: wiersze Jana Smreka, Stefana Krczmery, Emila Lukacza, Jar. Bednarza. Kronika słowiańska; polonica w Słowiańszczyźnie.

Kultura Lwowa (z. X. Listopad 1933). K. Lewandowski: Do Wodza; Miecz. Opałek: Na cmentarzu łyczakowskim; M. Opałek: Lwowskie wiechy i godła; dr. Zygm. Zborucki: Wychowanie estetyczne a szkoła; prof. Zygm. Żurawski: Generalicja lwowska na straży polskiej kultury; arch. L. Reiss: W sprawie uregulowania ruchu ciężarowego ulicznego przy starych budynkach zabytkowych; dr. Jakób Schall: Ghetto żydowskie w dawnej Polsce; Al. Semkowicz: Oprawa książki w historycznym rozwoju (c. d.); Varia.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.